



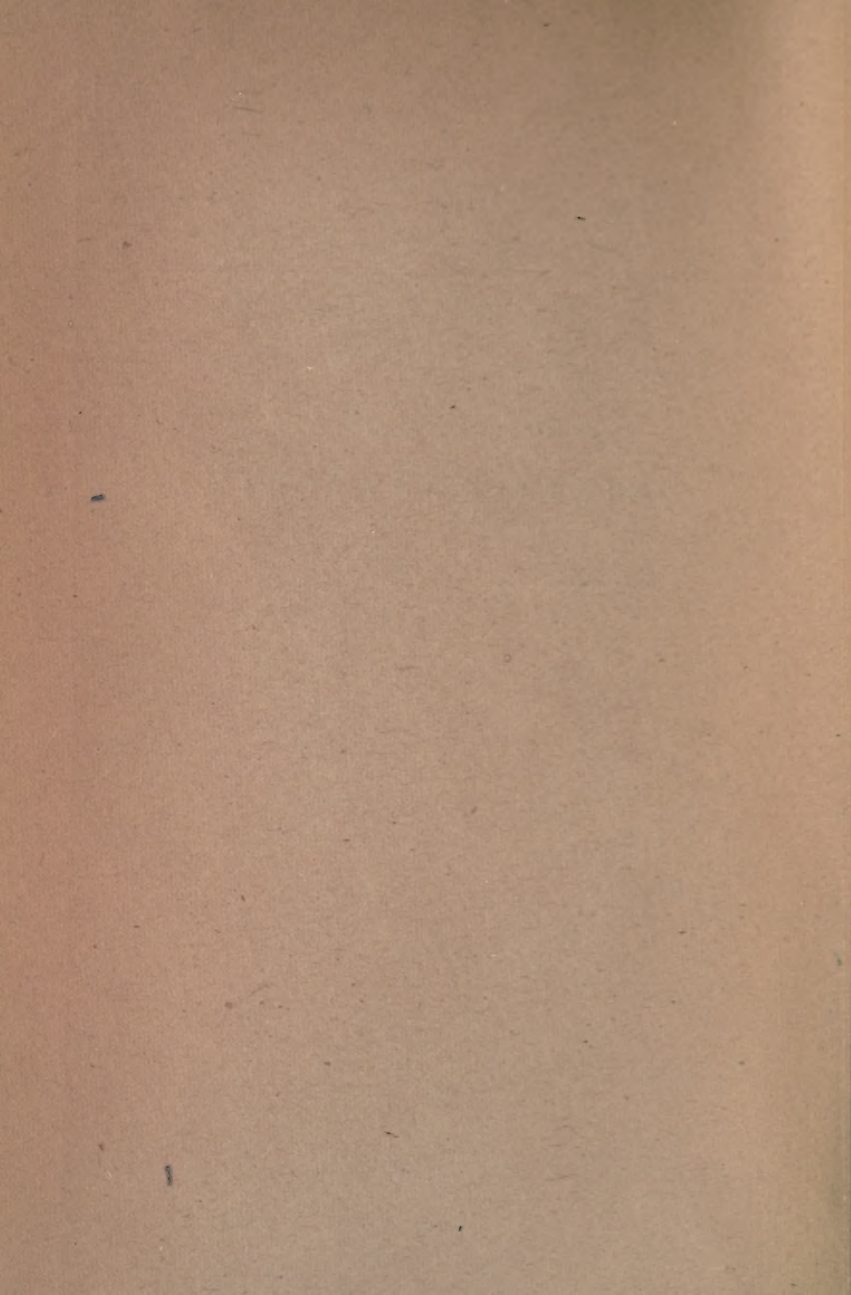
Presented to the
LIBRARY *of the*
UNIVERSITY OF TORONTO
by

MRS. A. TOMASZEWSKI

111

I
2

DZIEŁA POETYCKIE



A D A M A S N Y K

(El...y)

D Z I E Ł A
P O E T Y C K I E

WYDANIE ZUPEŁNE

Opracował

ZYGMUNT MICHAŁOWSKI

TOM II.

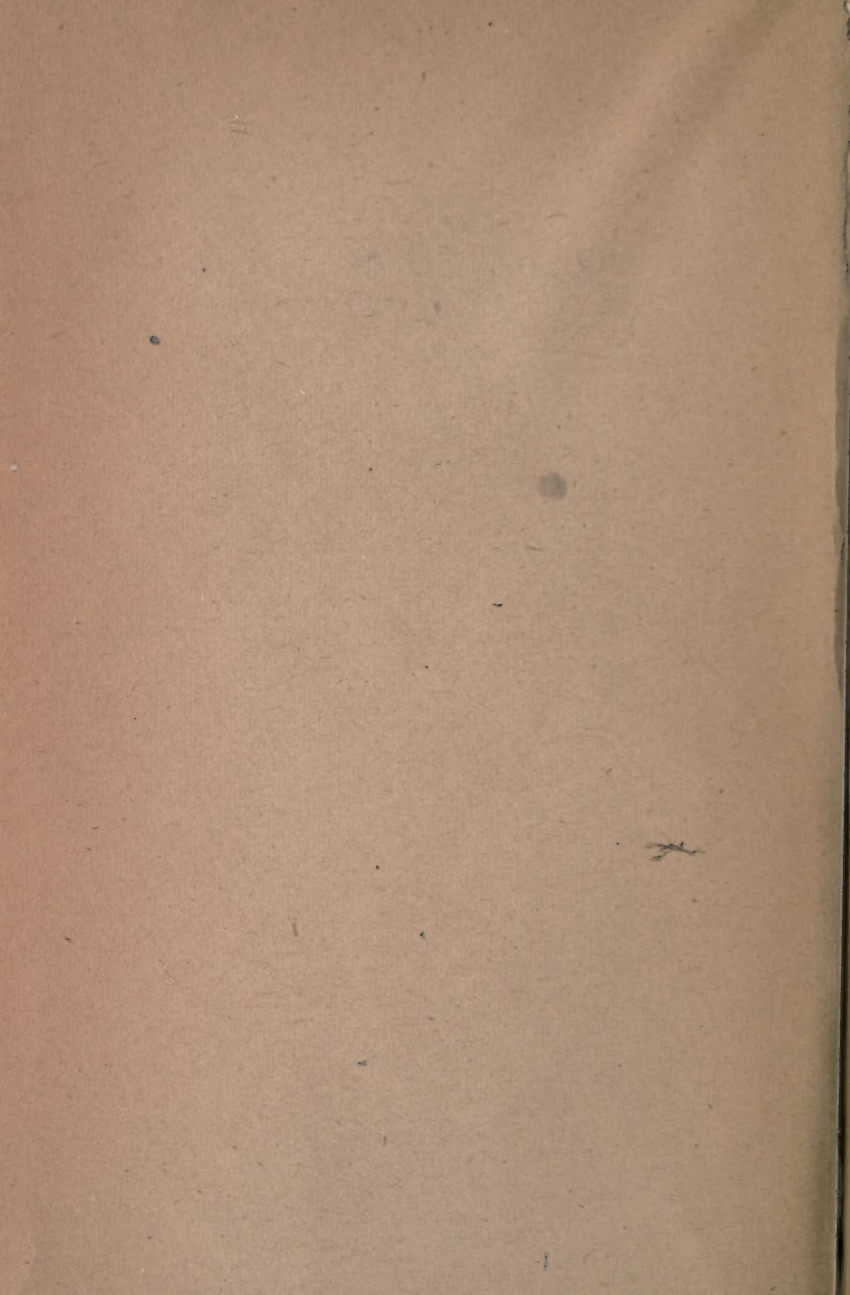
WYDAWNICTWO LUDWIKA FISZERA

W WARSZAWIE



PG
7158
A9A17
1900
t.2

I
S e n g r o b ó w



I.

W posępną nocy zaszedłem krainę,
Po śniegu, co się usuwał pode mną —
I przez powietrze zmrożone i sine,

Które zawisło nad przepaścią ciemną,
Rzucałem trwożne spojrzenia w pustkowie,
Bo czułem trwogę w mej piersi nikczemną.

Włos mi się jeżył przymarzły na głowie,
Na duszę dziwna przerażeń zmartwiałość
Spadła i skrzydła rozpostarła sowie.

I oślepiła mnie ta śniegu białość,
I obłąkały mnie te nocne cienie,
I upajała mnie ta skamieniałość.

I to zamarłej pustyni milczenie
Zdało się łamać we mnie życia prawa:
Byłem jak ciemność, rzucony w przestrzenie,

I nie wiedziałem, czy to sen, czy jawa;
O bycie własnym wątpiąc, znicestwiony,
W białym tumanie, jak znikomość mgława

Niknąc, leciałem tym wirem niesiony
Bez tchu, pamięci, w milczące otchłanie,
Spowity w śnieżnej zamieci osłony.

Ani to blade poranku świtanie
Nadeszło ująć martwości złowrogiej,
Co z chłodnych puchów utkała posłanie

Zniknionej ziemi, ani wśród tej drogi
Do zatracenia podobnej odmętów
Nie rozdarł ciszy żaden szmer ubogi.

I nawet echa dalekich lamentów
Nie biegły świadczyć o istnień ruinie,
Strąconych z życia powierzchni bez szczytów.

W tej niezmierzonej ciemności godzinie
Czasu już długa przeciekała wieczność,
A nieruchome nicestwa pustynie

Nie przyszła mierzyć codzienna słoneczność
Zwyczajnych światów, i noc nieskończona
Trwała — jak trwania ostatnia konieczność.

Zrazu myślałem, że mnie ból pokona,
Ze mnie wstręt zdławi, a przestрах oniemi.
I że ta próżnia niebios potępiona,

Co bez powietrza zda się i bez ziemi,
Mnie w nieruchome opasawszy skręty,
Z cieniami tylko porówna czarnymi,

I że w tę straszną ponurość wsiąknięty,
Utonę głucho bez łez i bez jęku,
Zaprzepaszczone i w mgły rozpierchnięty

Lecz i ten koniec nawet, pełen wdzięku,
Wobec ohydy upiornego bytu,
Jak widmo z światów dobyte rozdźwięku,

Pierzchał przede mną wśród męczarni przesytu,
I wciąż płynąłem, jako rzecz bezwładna,
Przeciw ciemnemu nicestwa korytu.

Otucha mnie też nie karmiła zradna,
Bom się czuł skonań myślą pogrobową,
Dla której przyszłość nie świeci już żadna.

I całą przeszłość niosłem bezechową
Na barkach swoich — w kraje bezpowrotne,
Rozpamiętując jej umarłe słowo.

Dalej więc, przez te wybrzeża samotne,
Przez mgieł powódzie, przez zasy pyłogowe,
Przez niebios brudne plamy i przez błotne

Zacisza bagien, przez stopy jałowe,
Gorzkie jeziora, piaszczyste wydmuchy
Pędziłem, chmury roztrącając płowe.

Pytałem tylko siebie, gdzie są duchy
Z rozbitych siedzib na wieki wyparte
I zatraconych światów gdzie okruchy?

Wszystko zostało bez śladu zatarte?
I żadneż widmo nie przyjdzie mnie trwożyć,
Na swoje piersi wskazując rozdarte?

Z plemion, co jutra nie umiały dożyć,
Nie pozostał śladu nawet w próchnie,
Cobym na sercu swoim mógł położyć?

I żaden z lodów płomień nie wybuchnie,
Coby mi wskazał grobów tajne nory,
Gdzie ton harfowy padł — i w kirach głuchnie?

Zadneż się nawet nie zlegną potwory
Z mętnych zapłodnień, zgnilizn i kałuży,
Coby przeznaczeń złamawszy zapory,

Powstały straszne wśród mogilnej burzy?
Ale nic — jedno, wielkie, uroczyste,
Co się nie błyska nawet i nie chmurzy.

Przestrzenie sobą wypełniło mgliste;
A jam je musiał, do dna mierząc wzrokiem,
Za swe dziedzictwo przyjąć — i wieczyste

Krusząc się pod tym haniebnym wyrokiem,
Przypominałem stracone obrazy,
Gdy tęcze grały nad życia obłokiem,

Gdy nawet z łomów dźwigały się głązy,
A rozbujane w takt Amfionów pieśni,
Spełniały prorocत्व szalone rozkazy.

Przypominałem, jak szli ci boleśni.
Rozmiłowani w szumie gęstych borów,
Płaczących Driad kochankowie leśni,

Wrzosom rumianych użyzczać kolorów,
Uśpione echa budzić z wschodem słońca,
Aby gemonie zyskać gladiatorów;

I w oczach moich gwiazda spadająca
Stopiła lawin zimowe obroże,
I poruszyła się fala milcząca

I odsłoniła mi umarłych zorzę,
Co się na ciemnych rozpostarły sferach,
Usłala śmierci koralowe łoża;

I jako próchnik, błyszczący w eterach,
Rozbłękitniła grobów sen miesięczny,
Ledwie widzialny w gwiazdzistych szpalerach.

Więc znów ujrzałem świat ten, tyle wdzięczny,
W harmonii wieczną uświęconej ciszą,
Trający życia koloryt niezręczny —

I otrząśnięty z tych łez, które wiszą
Nad ziemskich piekieł nieustanną wrzawą,
Aż w sobie piorun dla nich wykołyszą.

Mieniać się barwą opalów jaskrawą,
Stanął przede mną, jak anioł, co klęknie
Ponad kołyską sierocą i łzawą

Patrzeć: czy serce dziecięcia nie pęknie,
A z róż niebiańskich niosąc mu kołędę,
Ani go dziwi, ani też przelęknie.

Miłość ma swoją słoneczną legendę,
Co wspomnień zerwać nie daje łańcucha,
Mówiąc sierotom: „Ja, matka, przybędę

„Słuchać tych żalów, których nikt nie słucha.
„Nie wierzcie temu, że nas teraz dzieli
Niezapelniona niczym przepaść głucha“.

Więc i ja, z martwej podniesion topieli,
Kłamstwo zadałem śmiertelnej rozłace
I w to wierzyłem, co mówią anieli.

O, jakież źródło czyste i szmerzące,
Wiosennych kwiatów podsycają wonność,
Między olchami ściekając po łące,

Melancholijną wierzb płaczących skłonność
Łagodząc Najad pieszczonym językiem,
Głoszących ślubów przeżytych dozgonność;

I złotym jaskrów błyszczące piomykiem.
Pomiędzy gaje biegną i ogrody
Prowadzić nocne rozmowy z słowikiem.

Po nad cichymi rozstawione wody,
Na wzgórzach, spiętych dzikiej róży krzewem,
Bieleją wioski ubogie zagrody:

Kołycki marzeń dziecinnych, gdzie śpiewem
Porwane myśli lecą ponad błonie,
Ponad zielonym przyszłości zasiewem.

Ta niemowlęca świętość, co tu wionie,
Prześniła wieki czysta, nieskażona,
Jak perła w muszli zachowana łonie;

I nie wie nawet, gdzie jest pogrzebiona
Ciężka spuścizna, którą przyjąć trzeba,
Rzucając w ziemię ojczystą nasiona.

Dość jej na dzisiaj ojczystego nieba
I dymiącego ojcowizni ogniska,
Sosnowych borów i czarnego chleba.

Gaje i chaty! jasne zdrojowiska!
Zielone łąki, wysmukłe topole!
I na rozstajnych drogach wśród urwiska

Omszone krzyże w cierniach! was — pachole —
Widziałem w tęczy migającej rąbku,
A dziś was widzę strojne w aureole.

O lilio czystych krynic! o gołąbku
Opróżnionego gniazda! drzewko krasne,
Wieńczone krwawą jagodą jarząbku!

Widzieć cię jeszcze, nim na wieki zasnę,
Ach! dozwoliły mi anioły złote,
I pod twe stopy rzucić serce własne.

Wy, cienie! w jasną odziane prostotę,
Coście rycerskiej zbyły się kolczugi,
A krwi rycerskiej lejecie szczodrotę,

Kapłany gruzów! twarde krzyża sługi!
Raz jeszcze padnę wśród was na kolana —
Zanim przekleństwo rzucę na wiek długi.

Przez niebo wasze dziś rozmilowana,
Błądząca dusza zapomni o gniewie,
Bo ojców swoich szuka rozplakana.

Wy, jak cyprysy naszych pól — modrzewie,
Stoicie smutnie w opróchniałej korze,
W niezrozumiałym dziś gwarzące śpiewie.

Przy was mą harfę wędrowną położę,
Niechaj ją wyda strzaskana przez gromy,
Co w wieczność waszą wróci bez klątw może...

Lecz cicho teraz! bo przez świątyń łomy
Widzę żałobny wpół, a wpół weselny,
Ciągający orszak duchów mi znajomy,

Wzniosły i święty, jako hymn kościelny,
Co się wylewa w ekstazie ofiary.
Czy prawdą jesteś? o ty nieśmiertelny

Zawiązku kwiatów niewygasłej wiary,
Co bez owoców z drzewa życia spadasz,
Jak niedośniony triumf nocnej mary;

Lecz ani barwy wiosennej postradasz,
Ani cię splami rozpacz, albo trwoga.
Ziemi ci braknie, lecz niebo posiadasz,

I tak ci przyszłość zaświatowa droga,
Że otrząśnięty w girlandach przedwcześnie.
Z ochotą lecisz kwitnąć w ręku Boga.

Prawdą ach! dla mnie, co powtarzam pieśnie,
Przebrzmiewające w tyłu piersiach rannych,
Com się obłąkał w ciemnościach i we śnie

I tum was znalazł w jutrzzenkach porannych,
Przez drogi mlecznej zamgloną gwiazdzistość,
W pragnieniach do was lecąc nieustannych.

Prawdą jest dla mnie ta dziewicza czystość,
Z którą płyniecie w światy idealne,
Jak meteorów różana ognistość.

Serca! grobowców prochami zapalne,
Anielskich kwiatów upojone wonią,
Ogniki tylko w cmentarzach widzialne...

Do was przychodzę z połamaną bronią,
I z zasłoniętym rękami obliczem;
Z wami zgubiłem duszę — idę po nią...

Kwitnienie wasze będzie tajemniczym
Dla światów, zgiętych nad codziennym plonem,
Lecz w opadnięciu cichym, ofiarniczym

Pod Chrystusowe nogi wczesnym zgonem,
Spoczywa natchnień nieujęta siła,
Co świat nastraja nadzmysłowym tonem.

Cóż że się w drzeniu eterów ukryła
I błądzi srebrna po księżyca sierpie?...
Do niej się będzie zwracać ziemska bryła

I brać swe blaski, nie wiedząc skąd czerpie;
Aż zwyciężona zgryzotą duchową,
Wstań ideale! zawoła, bo cierpię.

Tu, przed oczami moimi na nowo,
Widzę was wszystkich, wieńczonych jemiolą,
Co jest odrodzeń godłem, jak w różową

Toniecie światłość i wieśniacze sioło,
Niby betlemską narodzin stajenkę,
Rozpromieniacie gwiazdami w około.

O! stójcie jeszcze... lecz rajską jutrzenkę
Pokryła ciemność, lecąca w odmęty,
I położyła mi na duszy rękę —

Wtedy się chyląc zwolna, jak kwiat ścięty,
Co kładzie twarz swą smutną na mchy rdzawe,
Jeszcze nie zeschły, ale już zwiędnięty,

Przybrałem cichą umarłych postawę
I chciałem zabić myśl i zamknąć oczy
Na wszelką boleść i wstyd i niesławę.

Gdy wtem mnie chmura ciemniejsza otoczy,
Z tej chmury skrzydeł wynurzy się dwoje.
I mnie cudownym zjawiskiem zaskoczy.

Aż nagle chmurne odrzuciwszy zwoje,
Zstąpił przede mnie jakiś rycerz hardy,
W wieczyste duchów zaprawiony boje.

Jak płomień jasny, a jak marmur twardy,
Nieugiętością zbrojny, nie puklerzem,
Mierzył mnie wzrokiem spokojnej pogardy.

Dał mi znak, a jam powstał przed rycerzem,
Niewzruszoności dziwiąc się kamiennej,
Którą my ludzie za nieczułość bierzem,

A którą gdy duch napelni płomienny —
To jest królową światów, które kruszy,
Jedynie godną dzierżyć rząd niezmienny.

Ze czcią patrzałem, cichy syn pastuszy,
Na tę książęcą postać gromowładną,
Co się nie ugnie w gromach i nie ruszy,

Co nie rozbroi się litością żadną,
I póty miecza do pochwy nie włoży,
Aż wyrok spełni nad tymi, co padną.

Poznałem, że to jest posłaniec boży,
Choć, kto on, jeszcze nie odgadłem zrazu,
Wpół oślepiiony blaskiem tamtej zorzy —

I tylko w jego źrenicach z topazu,
Czytałem straszną, świat łamiącą siłę,
Której nie myśli braknie, lecz wyrazu.

Tak w dociekania pogrążon zawile,
Straciłem z oczu, z serca i z pamięci,
Teraźniejszości zniknioną mogiłę.

Jakby zgadując niewyraźne chęci,
Duch ten swój oddech w ludzkie ubrał słowa
I rzekł po trzykroć: „Przeklęci! przeklęci!

„Przeklęci! których jutrzienka grobowa
„Kołysze do snu, do łez i nicości,
„I żywcem w łonie potępionym chowa;

„Dla takich Bóg sam nie znajdzie litości,
„Bram im przyszłego życia nie otworzy
„I twarz odwróci swoją od ich kości.

„Bo kto do tyła duszę swą zuboży,
„Że już z niej zetrze nieśmiertelne piętno
„I dobrowolnie w prochach się położy,

„Jak samobójca pierś splamiwszy smętną —
Wart, by go zdeptał praw skrzywdzonych mści-
„I nawet pamięć jego będzie wstrętną. [ciel,

„Ja nie przychodzę jako pocieszyciel
„Zatruwać przyszłość miłością zgnilizny,
„Ale sąd niosę, wszechwładny niszczyiciel,

„A miecz wyroków, wolny od trucizny,
„Jest obosieczny i zadając ciosy,
„Zasklepia razem ciężkie wieków blizny.

„Długo was pieścił Cherub złotowłosa,
„I nad lichymi próchnami się bawił,
„Wmawiając wielkość w strzaskane kolosa,

„A przecież z gruzów kolumn nie wystawił,
„I życia nie wlał w umęczone prochy,
„Tylko je w tęczy krwawej przez świat spławił,

„Mistyczną pieśnią napawając śpiochy,
„A odurzone siedmiu niebios blaskiem
„Rzucił w ciemności ów aniołek płochy.

„Ja więc przychodzę jako burza z trzaskiem
„Deptać doszczętnie zgniecione owady
„Połowicznego istnienia obrazkiem

„Zadowolone, byle ujść zagłady,
„A życiu, które wyższych szczebli sięga,
„Dziś krępujące usunąć zawady.

„Oto jest moja tajemna potęga!
„Co ma odnawiać bezpłodne ugory,
„I oto jarzmo! w które ludy wprzęga.

Choć za mną! w świat ten gnijący i chory,
„Przez drogi pełne klątwy i rozpaczy,
„Między skowane w łańcuchach upiory,

„Pomiędzy również upiornych siepaczy,
„Brodzących we krwi, którym wciąż się zdaje,
„Że o nich przyszłość świata się zahaczy.

„Chodź za mną! w znojów nieprzebranych kra-
„Lepsze są one, niżli wyobraźni [je:
„Kłamliwych widzeń utracone raje.

„Niech cię nie straszy długość ciężkiej kaźni,
„Ani zasmuca wierzchniej pleśni zgniłość.
„Stąpaj bez wspomnień, żalu i bojaźni

„I zerwij dawną z grobami zażyłość,
„I całą przeszłość marzeń chciej zostawić,
„Aby cię znowu nie zbłąkała miłość.

„To, co upadł, musi w rdzy się strawić,
„I pod martwości szatą taić skrycie,
„Bez próżnych pokus, aby siebie zbawić —

„Nienadwątlone niczym nowe życie,
„Któremu niańczy grób ten, jak kołyska,
„Nim niemowlęce odrzuci spowicie,

„I rzeczywistą siłę lotu zyska.
„Niech więc nie jęczy cichy proch człowieczy
„Pod stopą, co go depcze i uciska,

„Bo odrodzenie światów ma na pieczy
„I z woli Bożej zostaje deptany,
„Która mu triumf ojcostw zabezpieczy.
„I ty więc losów nie pragnij odmiany,
„Nie żądaj nigdy łaski, ni przebaczeń“.

„Kto ty?“ — spytałem — „duchu niebłagany!“
A on mi na to: „Jam anioł przeznaczeń“.

II.

Gdzie niegdyś duchom poczynione szkody
Mierzyłem bólem połamanych skrzydeł,
Tam dziś, cierpiące odwiedzać narody

Szedłem spokojnie pomimo straszydeł,
Pod wodzą mistrza, co z ciemnej otchłani
Wysnuwał tęczę krwawych malowideł.

Przywędrowałem do smutnej przystani,
Skąd odbijają od ziemskiego lądu,
Na niemoc ducha i hańbę skazani.

Zastałem tłumy czekające sądu,
Co jak spłoszone stada nocnych ptaków,
Wzdłuż huczącego wlatywały prądu.

Tyle tam było przeklętych orszaków,
Żem się aż cofnął z grozy i zdziwienia,
Poznając wszędzie braci i rodaków:

I naraz wszystkie głosy utrapienia
Podziemia jaskiń napełniły zgrzytem,
Aż echem piekiel odwrzasły przedsięnia.

Rozpaczy straszna pieśń, ponad rozbitym
Ciał rumowiskiem wzięła wszystkie tony,
I urąganiem męczarnią dobytym,

Związała jęków niesfornych miliony,
I tak nad duchów kolumną powietrzną
Jakoby sztandar wiała potępiony.

Chociażem wzgardę poślubował wieczną
Dla istnień światom wymiecionych z drogi,
Przecież ujęty zgryzotą serdeczną,

Zadrzałem z bólu, litości i trwogi,
Słyszając tę skargę na wieczność rzuconą,
I o piekielne odtraconą progi.

Zachód się palił łunami czerwono
I w purpurowym ogniu szpetne głębie
Rozpościerały tajemnicze łono.

Ja szedłem dalej po skalistym zrębie
Między pierzchliwych widziadeł orszaki;
Wtem otoczyły mnie wieńcem gołębie.

Spojrzałem zdziwion na te czyste ptaki,
Białe, od krwawych promieni różowe,
Gdy, roztopione wprzód w powietrzne szlaki,

Jak róż girlanda spadły mi na głowę...
Skądże, myślałem, ich niewinne loty —
Pokierowane w gwiazdy zodiakowe

I w słońce promiennych wplecione obroty —
Tu je przyniosły, od biegu omdlałe
I gnane wichrem anielskiej tęsknoty?

Czym zawiniły te latawce białe,
Że na tym smutnym znalazły się brzegu,
Skąd nie ma wyjścia już na wieki całe?

Ach! nie na takim spoczywać noclegu
Żeglarzom nieba najczystszych błękitów
I łamać skrzydła jaśniejsze od śniegu

Na ostrzach łzami wzrosłych stalaktytów,
I ślepnąć w blasku podziemnych płomieni
W owej krainie zatraconych bytów!

Kiedym to myślał, stada srebrnych cieni
Ponad burzliwe zniżyły się fale,
I piły chciwie z ich czarnych strumieni

Gorycz, co na śmierć upaja — i w szale
Krwawiły piersi, lecąc obłąkane,
I siadły dumać na nadbrzeżnej skale.

Stamtąd, wpatrzone w pożary rumiane,
W podziemnych ognisk jaskrawe wytryski,
Myślały może jasnością oblane,

Że się rumienić poczyna świt bliski; —
Bo wszystkie naraz zerwały się lotem,
W płomiennych węzów duszące uściski

Spływając, chwilę purpurą i złotem
Migały w blasku ubarwionej szaty,
Aż znikły wszystkie pod dymu namiotem.

I tylko pieczar ponure komnaty
Wstrzęsły się śmiechu szatańskiego wrzawą,
Gdy się posypał cichy proch skrzydlaty.

Zanim się nad tą zadumałem sprawą,
Rzekł mi przewodnik: „Widziałeś tę marną.
„Za poświęceniem goniącą i sławą

„Czeredę sylfów, czystą i ofiarną,
„Co chciwie napój wysącza boleści
„I w płomień ciska duszy swojej ziarno?

„Ich trwanie, ziemskiej pozbawione treści,
„Jest jednym ciągiem pragnień i niemocy,
„Błyszczycy się chwilę i ginie bez cześci.

„Pokój im! w cichej zapomnienia nocy,
„Ich jest królestwo pośmiertnej pogody,
„Aż je odkopią grabarze północy“.

Umilkł — i szliśmy dalej ponad wody,
Ci rozwścieklone z rykiem nawałnicy
O skał się tłukły granitowe spody;

Przed nami sterczał najwyższej iglicy
Lodowy cypel, zatopiony w chmurze;
I opasany wstęgą błyskawicy,

Jakby umarłej panując naturze,
Wstrząsał się cały wulkanicznym grzmotem,
I głużył ryki odmętów i burze.

Tam! walcząc z urwisk wstrząsanych wywro-
[tem,
Pełznąąc po głazach strącanych od gromów,
Nie zastraszone burzą, ni łoskotem,

Po ostrzach lawy i ostrogach łomów
Piąłem się zwieszon na przepaści krańce,
Jak atom wobec lodowych ogromów;

I tylko wichry — pustyń wychowańce,
W ślad mojej drogi wyły po rozdrożach,
Szturmując z lawin usypane szanice,

Lub się błakając w lodowatych morzach;
Tylko potoki — z rozdartego łona
Olbrzymią raną po kamiennych łożach

Rzucały wody huczącej brzemiona,
W zakryte oczom tajemnicze cieśnie,
Skąd tylko pary powiewna zasłona

Zraszała skalne porosty i pleśnie;
Tylko pędzone wichrem mgły przelotne,
Niby widzenia pochwywane we śnie,

Biegły po szczytach w przestrzenie samotne,
A wypełniając bezdenne obszary,
Porozwieszały swe płaszcze wilgotne.

I dalej — coraz przepaścistsze jary
Porozgradzały straszliwe przystępy
I coraz bardziej tonęły w mgle szarej

Ciemnych granitów poszarpane strzępy;
Tak , że nareszcie za mną i przede mną
Góry, przepaście, lawiny, skał kępy,

Stopniały wszystkie w nieskończoność ciemną —
Już blisko celu, i srebrzyste ostrze,
Co pracą ogni wewnętrznych podziemną

Rzuciło w błękit swe dymiące nozdrze,
Wkrótce w ostatnim zdobyte okopie
Pod stopą moją widnokrąg rozpostrze.

Jestem — i chyba w błękit się rozstopię;
W pół przechylony w przymglone powietrze
W gasnących światłach opływam potopie

I łowię wzrokiem te barwy wciąż bledsze,
Co w nowe coraz zlewają się tony,
Zanim je wszystkie ręka nocy zetrze.

Zrazu nic widzieć nie mogłem olśniony:
Niebo i ziemia w szalonym zawrocie
Spływały w jeden łańcuch nieschwycony,

I w nierozdzielnym powiązane splocie,
Gór rusztowania, niebieskie przestworza,
Doliny ledwie widzialne w przelocie,

Srebrne wód spadki i błyszczące morza,
Migały naraz przed zdumionym okiem —
A nad tym wszystkim jedna wielka zorza.

Od strony morza, nad urwiska bokiem,
Obok krateru, co wieczyście płonie,
Osłonił dymu przejrzystym obłokiem,

Ze łzami w oczach, w błyskawic koronie,
Na piedestale, z złotą harfą w ręku,
Siedział lutnista na obłocznym tronie.

Nogę swą oparł na liktorskim pęku,
I drżącą rękę kładł na złote struny,
A harfa jego orężnego szczęku

Pełna, a dla niej przygrywką — pioruny.
Posąg to w przyszłość obrócon daleką,
Zagadkowymi wypełniony runy.

Przed nim duch ludu trzaska trumny wieko.
A obleczony szatą purpurową,
Na krwawe strugi spogląda, co cieką.

Dalej Polelum, pod jutrznią tęczową,
Na piersiach brata umarłego trzyma,
Trupią dłoń jego wznosi ponad głową

I u chmur żebrze piorunów oczyma
Obok na stosie strzeskanych oręży
Przy popielnicy z prochami olrbzyma

Dwie dziewic: jedna wstrząsa kłębek węży
I nóż skrwawiony, Jak Nemezys gniewna,
Woła: „Kto za mną, nim umrze zwycięży“.

Druga, w liliowym wianku lutnia śpiewna,
Wiatrom się skarży, że nad sercem ludu
Więcej ma władzy płaczącego drewna

Nieczuły kawał i nadzieja cudu —
Niżli królewska boleść, stos ofiarny
I cała przyszłość spodlenia i brudu.

A z drugiej strony tętni jeździec czarny
I całun śniegu piersią konia kraje,
Zwrócony biegiem ku gwieździe polarnej

Grzmiąco przyzywa: „Kto rycerz — niech
Tak coraz dalej wokoło lutnisty wstaje!“
Widziałem całą białych widem zgraję,

Zarysowaną z lekka w wieniec mglisty,
Który wypełniał ciemne tło obrazu,
Składając jeden długi sen kwiecisty.

Wpatrzony stałem na krawędzi głazu,
Nie śmiejąc skłócić powietrza westchnieniem,
Nie mogąc znaleźć w swych ustach wyrazu

W zachwycie przed tym cudownym widzeniem;
I chciałem wżyć się w tę całość natchnioną,
A naznaczoną piekielnym znamieniem.

Nie łatwo walką duszy swej szaloną
Rozgrodzić niebios i piekieł potęgę
I stać na szczycie bólu przed zhańbioną,

Na zatracone patrząc widnokreśli,
Zachować dumy błyskawiczny wieniec
Nie łamiąc Bogu czynionej przysięgi.

Ten więc przede mną wielki potępieniec,
Co deptał światów zwyczajne porządki
I duchom wstydu wypalił rumieniec, -

Gnając je myślą w genetyczne wrzątki,
W apoteozie swej posępnej doli
Jaśniał, jak niebem gardzące wyjątki.

Achl wobec niego korząc się — powoli
Traciłem dotąd niezłomną pogodę,
Chciałem się wyrzec narzuconej roli,

Na wszystkie ciosy mieć znów serce młode.
I włącząc przeciw naznaczonym sądom
W piekielnych ogniach walki wziąć nagrodę.

Bo któż się może oprzeć takim prądom,
Co rozrywają zasklepione rany!
Któż może nędzy niezmiennej zarządom

Spokojnie duch swój powierzyć stroskany?
Z wytkniętych torów nigdy nie wykraczać,
By nieomylniej doczekać wygranej?

Gdy tak sam z sobą bój począłem staczać,
Wtopiony wzrokiem w chmurną postać mistrza,
Wichry przybiegły po lutni rozpaczać.

I coraz bardziej burzliwa i mglistsza
Fala harmonii spłynęła w błękity,
I niebios coraz jaskrawość ognistsza

Porozciągała swe płonące świty,
I coraz więcej ciemniały ku górze
Bezksiężycowe posępne zenity.

Tymczasem wulkan w płomieniste róże
Ubrał się cały — i hukiem podziemnym
Wraz z piorunami, które słały burze,

Wtórował pieśni natchnieniom tajemnym;
A z dołu jeszcze pod olbrzymią skałą,
Rozbijające się na pasie ciemnym

Morze odmęty swoje rozkiełznało
I z bezkrańcowej wyjącej przestrzeni
Trzecią pieśń straszłą do wierzchołka słało.

Jakby za danym hasłem, potępieni,
Zaczęli z tajnych wychodzić kryjówek.
Była to chmura połowicznych cieni,

Co pozbawiona rąk i trupich główek,
Z grobowców nagie szkielety wywlekła,
Do rozpaczliwych zagnana wędrowek.

Straszna je wiedźma po ramionach siekła,
Pędząc jak trzodę przez płomienie żrące,
By nie uciekły na dno swego piekła.

Tylko się kości kurczyły płaczące
I w lez przydrożne padały kałuże,
Chcąc tam swe rany ochłodzić piekące.

I ani całej zgrozy nie powtórzę,
Jak wypraszały się widma od męki,
Z jaką niechęcią pełzły pod to wzgórze,

Skąd brzmiały harfy piorunowe dźwięki,
I jak bolesnym przejmował mię wstrętem
Ten trupi zastęp bez głowy i ręki.

Przyszedł nareszcie i w kole przeklętym
Naprzeciw mistrza rozpostarł się tronu;
Tu, jakby pieśni porwany zamętem,

Stracić miał pamięć haniebnego zgonu,
Cały się łańcuch ożywił występny
I w takt dzikiego kołysał się tonu.

Z trwogą patrzałem na taniec posępny,
Na te szkielety, wschłuchane ciekawie
W tok pieśni dla ich bytów niedostępny.

I kiedy lutnia zagrzmiała o sławie,
Żywiej zabłysła ich próchen bielizna
I w wojowniczej stanęły postawie.

A kiedy lutnia wyjękła: „Ojczyzna“ —
Poodrzucały swe skrwawione płótne
I silniej od nich wionęła zgnilizna.

Gdy coraz bardziej pieśń szalała smutna
W pourywane chaotyczne spadki,
Na ziemię padła czereda pokutna

I wszczęła wyciem głośno wzywać matki!
Aż dreszcz przejmował patrzeć na te wstrętne
Spróchniałych kości skrzypiące ostatki,

Jak się w targania rzucały namiętne,
Jak się przykryły niebu swymi modły,
I o zniszczenie błagały doszczętne.

Długo się w bólach pasował proch podły,
Nim się odważył powstać o swej sile,
I tam, gdzie harfy natchnienia go wiodły,

Iść — na wiekowej oprzeć się mogile;
Lecz przy odgłosie wulkanicznych grzmotów
Zerwał się przecież — i wrzeszcząc opile

Straszne przysięgi składał, że już gotów.
Ruszyły naprzód, te krzywoprzysiężne,
Roznamiętnione do niezwykłych lotów

Mary współczesne, liche, niedołężne,
Gnane boleścią, przestachem, rozpaczą,
Jako upiorów hufce bezorężne;

I kędy orły nad grobowcem kraczą,
I kędy tylko nad przepaści łonem
Porozwieszane czarne świerki płaczą,

W miejscu, grobową ciszą uświęconym,
Na okrwawiony szaniec uroczyśka
Biegły ohydne za nikczemnym zgonem.

I wnet się smutne zatrzęsły zwaliska
I cichych westchnień przedarły się tony
I w głębi lochu trumna, czy kołyska

W gwiazd się jaśniejsze przybrała korony
I całą martwość grobowego świata
Oświecił z góry księżyc przerażony.

Srebrna mgłą, duchów niewidzialnych szata.
Rozfalowana tajemniczym drżeniem,
Ponad grobami zawisła skrzydlata,

Trącana widzeń wzlatujących tchnieniem;
A na niej blade zakwitły postacie
Narysowane miesięcznym promieniem.

I pełno było w tej obłocznej szacie
Zaledwie przeczuć dających się szmerów,
O pohańbionym teraz majestacie

Rozmyślających dawnych bohaterów;
I pełno wonnych przeszłością podmuchów,
Z nadziemskiej sfery płynących eterów.

Coraz się więcej rozszerzał krąg duchów,
Jakby się wieków otchłanie otwarły,
Jakby się wydarł ze swoich łańcuchów

I tu na świadka stanął świat umarły,
W tej sybilicznej nocy zatracenia,
Z pogardą patrzeć na bezgłowe karły.

Wszystkich żywiołów zmięszwały się tchnienia,
I wszystkich potęg nadzmysłowych strażę
Przyszły do ziemi szturmować sumienia,

A rozgrzebując milczące cmentarze,
Zajrzeć w ludzkości zapleśniałe serce,
Czy nic — prócz pleśni — więcej nie pokaże.

W takiej szalonej widziadeł rozterce
Trwoga i boleść wiały nieskończone,
Jakby w przeklętej od nieba szermierce

Miały być struny przeczuć potracone,
I w rozstrzygnięciu krwawego dramatu,
Poza triumfem piekiel nieskażone,

Wschodzące słońce, miało wskazać światu,
W długim szeregu zatraczeń i zniszczeń,
Od legendowych rajów Eufratu

Drogę — wśród ciągłych bojów i oczyszczeń —
Do tej anielskiej ojczyzny wszech ludów,
Co wolna, w chwili osiągniętych ziszczeń

Spłynie z rozbitej dziś kolebki cudów.

EPILOG DO SNU GROBÓW

O! jakże trudno pierzchłe już obrazy
Do życia z sennych krain przywoływać!
I jakże smutno ciemne duchów skazy

Z zasłony, którą śmierć rzuca, odkrywać,
I po przepaściach łowić epos bladą,
I co zawiera męki odgadywać!

Czyż się nie cofnąć? raczej przed gromadą,
Co winy swoje w inne światy wlecze,
I gdy się żywi do spoczynku kładą,

Jeszcze w ciemnościach gdzieś krzyżuje miecze?
Czyż nie zamilknąć przed żyjących rzeszą,
Co mniemać będzie, że wraz z nią zlorzeczę?

Świat ten tak dziwny! i ludzie się śpieszą
Zetrzeć czymprędzej ślad krwawej areny;
To, w co wierzyli wczoraj, dziś ośmieszają,

I codzień nowej potrzebując sceny,
Trupa przeszłości ze wzdrganą wywleką,
Na łup zgłodniałe spraszając hieny.

Tymczasem cienie nad Letejską rzeką
Kończą tragiczną dramatu osnowę,
Łzy im pod martwą zastygły powieką

I żale swoje wywodzą grobowe,
Bo żyją tylko tym dalekim brzmieniem,
Które przyszłości sny potraça nowe.

I myślą biedne, że ludzi wspomnieniem
Nieśmiertelności dokupią się mglistej,
Że ta drgająca fala ich imieniem

W krąg się po ziemi rozejdzie ojczystej,
I że im echo wracające powie
O sercu pamięci wdzięcznej i wieczystej.

Lecz świat ten dziwny! — zrzuca szaty wdowie,
Aby zapomnieć prędzej, czym żył wczora,
I klątwą tylko żegnają synowie

Odlatującej ojczyzny upiora,
I dawny ołtarz rozpada się w zgliszcza
Pod jednym cięciem krwawego topora!

Nowy obrządek i nowe bożyszczca
Biorą pokłony społecznego tłumu;
Lecz ani boleść, co serca oczyszczca,

Ani jaskrawa pochodnia rozumu
Do wyższych celów zaprzęta nie nagna,
Bo ci wśród szyderstw głuszącego szumu

Do swych poziomów wszystko zniżyć pragną;
Tak więc po smutnym przeszłości wyłomie
Zostaje w spadku wielkie tylko bagno.

A kto się twarzą zwróci ku Sodomie,
Tego Bóg w posąg boleści zamienia,
I nad umarłym morzem nieruchomie

Sam pozostanie wśród pustyń milczenia,
Dźwigając przekleństw narzucone brzemię.
Co go nimbusem piekieł opromienia.

Śmieszna komedia! — gdzie zwycięzcy strzemię
Całują zgięte na kolanach męża,
I gdzie umarłych nieświęconą ziemię

Plugawią jadem pełzające węże,
I gdzie ostatnia zachoś, co nie pada,
Modlitwą nawet niebios nie dosięże!

Więc gdy ostatnie hasło w sercach: „zdrada“!
Z cmentarnych krzyżów niech pręgierze stawiają,
I umęczonych śpiąca już gromada

Niech się nie dziwi, że ich proch zniesławiają;
Niech się nie troszczy w chmurach rozpostarta,
Że ich śmiertelnej koszuli pozbawiają.

Bo tak być musi: i dziejowa karta,
Co lśniła blaskiem nieuszczykniętych marzeń,
Raz ręką mściwej Nemezis rozdarta,

Walać się musi w błocie ziemskich skażeń,
Aż ją znów przyszłość podniesie zwycięska,
I w krwi umyje anioł przeobrażeń.

Choć się więc skruszy pierś nie jedna męska,
Kamienowana u świątyni progu,
Choć grasująca czarnych odstępstw klęska

Szerzyć się będzie w smutnym epilogu:
Nieprzekupiony przetrwa prawdy świadek,
Co boleść naszą odda w ręce Bogu.

Ileż to ciemnych ciągnie się zagadek
Przy tym krzyżowym ludzkości pochodzie,
Gdzie wciąż się nowy powtarza upadek,

Co spycha w przepaść jasne duchów łodzie!
Ileż to razy ginące plemiona
Chciały powstrzymać słońce na zachodzie,

By przyszłość w swoje uchwycić ramiona,
Sądząc, że one kończą dzień pokuty,
A jutro błysnie jutrznia nieskażona!

Próżne złudzenia! bo ich ślad zatruty
Zostaje w spadku przyszłym pokoleniom;
Ideał starców łamie się zepsuty,

● A młódź urąga okrwawionym ceniom;
I gdy ma nowe gonitwy poczynać,
Kłamstwo zadaje przeszłości natchnieniom.

Więc znowu trzeba boleć i przeklinać,
Trzeba ukochać jaką nową marę,
I nowe tęcze na niebie rozpinać,

Wątpić i wierzyć i znów tracić wiarę.
A po pielgrzymce męczącej i długiej
Minotaurowi znów złożyć ofiarę.

Ha! gdyby znalazł się Tezeusz drugi,
Coby odszukał labiryntu wątek,
I spłacił za nas zaciągnięte długi

I dał nam w ręce rapsodu początek —
Możeby jeszcze było stworzyć z czego
Dziwną krainę marzeń i pamiątek!...

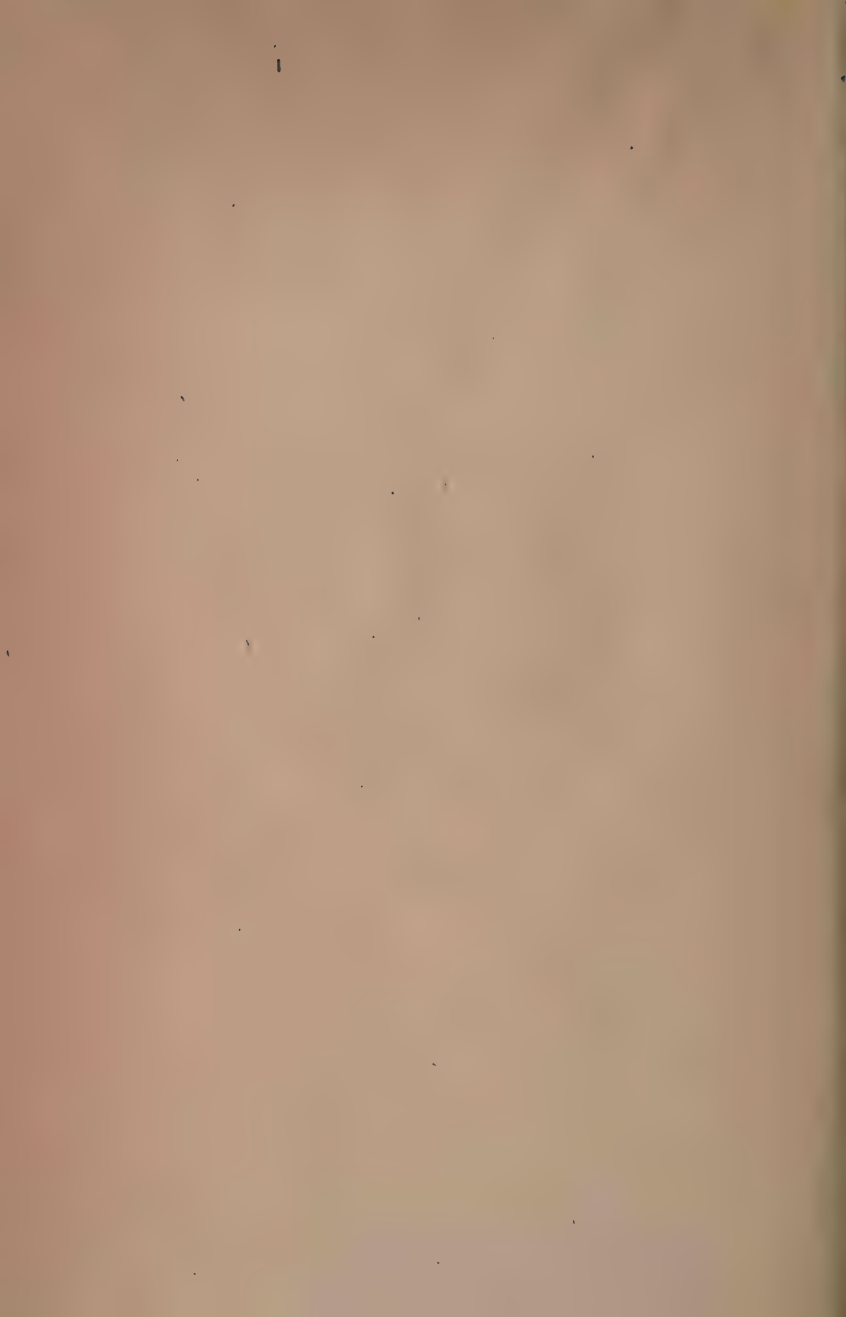
Lecz tak: co robić?... Życzę snu dobrego
I tej odwagi, co zdrajcom przystoi...
A sam do grobu wracam splamionego

Jak upiór w dawno zardzewiałej zbroi,
Któremu serce trza odjąć i głowę,
Aby nie straszył tłuszczu, co się boi.



II

Nad głębiami



I

Zmiennego bytu falo ty ruchliwa!
Co nas unosisz po wszechświata toni,
Daremnie wzrok nasz za tym wszystkim goni,
Co pod powierzchnią twoją się ukrywa;

Choć nam w błyskawic blasku się odsłoni
Głęb niezmierna, ciemna i straszliwa...
Trudno nam dotrzeć spojrzeniami do niej
Przez pianę zjawisk, co po wierzchu pływa.

Próżno nad głębią schyleni, jej ciemnic
Obraz chwytamy, gdyż ruchliwa fala,
Zamiast odwiecznych istnienia tajemnic,

Własną twarz naszą ukazuje zdala,
I nasz widnokrąg cały się powleka
Rzuconym w wszechświat odbiciem człowieka.

II

Wieczne ciemności! bezdenne otchłanie!
Co otaczacie tajemnicą życie,
Próżno was ciągle pytamy: milczycie,
Głuche na nasze skargi i wołanie.

Próżna ciekawość! próżne serca bicie!
Nikt odpowiedzi od was nie dostanie,
Chyba nam echo odrzuci pytanie,
Przywłórzy myśli, tkwiącej w piersiach skrycie.

I nieraz biedni za prawdę bierzemy
Ten głuchy oddźwięk własnej wyobraźni,
Sądząc, że słyszym tajny głos natury,

Lecz wszechświat stoi tak jak przedtem niemy
I otchłań póty milczeniem nas drażni,
Póki nas w mrok swój nie wciągnie ponury.

III

Łudząca Maja otworzy ci oczy,
Migając widzeń różnobarwną tęczę,
Splotami wrażeń zmysłowych otoczy
I siecią złudzeń usidli pajęczą.

Widzisz tłum zjawisk, co się wkoło tłoczy,
Słyszysz melodie, co ci w uszach dźwięczą,
I śnisz sen smutny, chwilami uroczy,
W którym cię widma zagadkowe dręczą.

Ścigając próżne przynęty zwodnicze,
Co się wciąż z twojej usuwają dłoni,
Pragniesz rozpoznać więzy tajemnicze

I swej piastunki zakryte oblicze;
Lecz ledwie rękę wyciągnąłeś do niej,
Łudząca Maja oczy ci zasłoni.

IV

Jak ptaki, kiedy odlatywać poczną,
Bez przerwy ciągną w dal przestrzeni siną,
I horyzontu granicę widoczną
Raz przekroczywszy, gdzieś bez śladu giną...

Tak pokolenia w nieskończoność mroczną
Nieprzerwanymi łańcuchami płyną,
Nie wiedząc nawet, skąd wyszły?... gdzie
[spoczną?...
Ani nad jaką wznoszą się krainą?

W chmurach i burzy, lub w blasku promieni,
Podległe skrytych instynktów wskazówce,
Lecą, badając wąski szlak przestrzeni,

Który im znaczą poprzedników hufce,
I tę przelotną grę światła i cieni,
Jaką w swej krótkiej zobaczą wędrówce.

V

Gdy nas ciemności otaczają wszędzie,
W swej zacieśnionej zatrzymując sieci,
Wzrok nasz nie sięga za drogi krawędzie
I nie pytamy: co za nią? jak dzieci.

Lecz niech kto światło na drodze roznieci,
To choć wzrok szerszy widnokrąg posiędzie,
Dokoła miejsca, które blask oświeci,
Otchłań ciemności jeszcze większą będzie.

Wraz z blaskiem wiedzy zdobytej płomienia,
W miarę jak widzeń krąg się rozprzestrzenia,
Wciąż obszar mroków nieprzebytych rośnie...

I to, co dostrzedz możemy, jest niczym,
Przed tym nieznanym, skrytym, tajemniczym,
Co nam mrok wieczny zasłania zazdrośnie.

VI

Na falach swoich toczy słońc miliony
Wieczny Ocean bez dna i wybrzeży,
Którego nawet goniec uskrzydłony
Przestrzeni, promień świetlany, nie zmierzy;

Ani fantazji młodej polot świeży,
Ani błysk myśli, na zwiady rzucony,
Do krańców jego nigdzie nie dobieży
I tajemniczej nie przedrze zasłony.

Nieskończoności łańcuch wyciągnięty,
Biegnąc przez mroczne przestrzeni odmęty,
Wśród bezbrzeżnego znika nam ogromu,

Niemocą myśli przedwcześnie ucięty.
A z drugiej strony ginie pokryjomu
Gdzieś w nieskończonej małości atomu.

VII

Rzucone w przestrzeń złotych gwiazd kagańce,
Te wirujących światów zbiorowiska,
Skupione bytów chwilowych ogniska,
Ten cały ogrom, za którego krańce

Nie mozem sięgnąć przygodni mieszkańce,
Z nieskończoności toni bez nazwiska
Wzniósł się podobny wirującej bańce,
Która na fali tęczy i pryska.

Niesie go z sobą ta nieznana fala,
Co poza bytem będąc, byt okala,
I wszystko z łona swego wyprowadza,

I nowe słońca w przestrzeniach zapala,
Gdy nią poruszy kierująca władza,
Co byt na głębiach nicestwa osadza.

VIII

Noc, noc wieczysta, głuszą przedbytową
Otacza kręgi cągające istnienia,
Noc i pierwotny eter bez skupienia,
Bez związku z światów fizyczną budową,

Swą jednolitą nicość rozprzestrzenia,
Z której dopiero falę światów nową,
Wirami mgławic skłębionych pierścienia,
W przyszłości twórcze wyprowadzi słowo.

Noc, noc wieczysta! W jej bezwładnej czczości
Żaden istnienia odblask nie zagości;
Nic się nie zmienia, nie drga, nie posuwa

I nic nie mierzy tej pustej wieczności,
Tylko Duch świata bezustannie czuwa
I przyszłych istnień z siebie nic wysnuwa.

IX

Nieśmiertelności nie poszukuj w próchnie,
Albo w czynnikach, co się wnet rozpręgą;
Nieśmiertelnymi nie są kość i ścięgno,
Ni żądz płomyki, które śmierć zadmuchnie

Te dumne myśli, co się w głowie legną,
Pójdą na pastwę bladej przemian druchnie,
Jeśli za zlepek znikomy nie sięgną,
I osobistej sławy oddźwięk zgłuchnie.

Wszystko, co świeci w ludzkich cacek kramie,
Co przypadkowe, ułomne i liche,
Co nosi zachceń osobistych znamię,

Choć się przystraja w odrębności pychę —
Wraz z swą skorupą w prochy się rozłamie,
Na dno przepaści opadając ciche.

X

Tylko treść, która z całością się splata,
To, czego żaden trąd nie upośledza,
Czego nie dzieli egoizmu miedza
Od wszystkich ogniów duchowych wszechświata;

To, co chwilowy zakres swój wyprzedza,
I z życiem przyszłych pokoleń się brata;
Tylko ta wspólnych źródeł samowiedza,
Co z gwiazd na gwiazdy wzlatuje skrzydlata

I wszędzie siebie znajduje świadomie,
W minionych zmierzchach, w mgle przyszłych
[stuleci,
W sercach współbraci i światów ogromie,

I w każdym życiu drgającym atomie —
Ta jedna z czasu wyplątana sieci,
Nieśmiertelnością poza grób uleci.

XI

Ileż to zgonów, i narodzin ile,
W krótkim dni naszych przechodzimy zakresiel
Tłum nowych pędów wciąż do życia rwie się,
Gdy to, co przedtem w pełni kwitło sile,

Spada jak liście obumarłe w lesie...
Szybko mkną w przeszłość niepochwytne chwile,
A każda cząstki oderwane niesie,
Z naszego wnętrza... i składa w mogile.

Wciąż coś przybywa i coś nam ucieka;
Myśli, uczucia rodzą się i giną;
Każdy dzień stwarza świeży kształt człowieka,

Który nad dawną wyrasta ruiną...
I tylko pamięć wiąże w całość jedną
Mgliste obrazy, co w przelocie bledną.

XII

Wzniosłe dążenia, szlachetne pobudki,
Rozpaczne walki, zgliszcza i cmentarze,
Róże miłości, uczuć niezabudki,
I ukochanych jasne przedtem twarze,

We mgłach przeszłości nikną, jak sen krótki . . .
A czas powoli w pamięci zamaże
Najdroższe rysy i najcięższe smutki,
I echa wspomnień zgłuszy w dziennym gwarze.

Gdy szron jesienny kurczy je i ziębi,
Naprózno serce chce zatrzymać w głębi,
Wdzięczne obrazy błogości dziecięcej;

Próżno chce wskrzeszać bieg minionej chwili.
I tych, co z nami wspólnym życiem żyli:
To, co już przeszło, nie powraca więcej!

XIII

Przeszłość nie wraca, jak żywe zjawisko,
W dawnej postaci, jednak nie umiera:
Odmienia tylko miejsce, czas, nazwisko,
I świeże kształty dla siebie przybiera.

Zmarłych pokoleń idealna sfera
W żywej ludzkości wieczne ma siedlisko,
A grób proroka, mędrca, bohatera
Jasnych żywotów staje się kołyską.

Zawsze z tej samej życiodajnej strugi
Czerpiemy napój, co pragnienie gasi;
Żywi nas zasób pracy plemion długiej,

Ich miłość, sława, istnienie nam krasi;
A z naszych czynów i z naszej zasługi
Korzystać będą znów następcy nasi.

XIV

Po wszystkie czasy, przez obszar daleki,
Wiążą się istnień kolejne ogniwa;
Fala pokoleń, wielkie ludów rzeki,
Wszystko w ocean jeden wspólny spływa,

Który zasila coraz dalsze wieki...
Z rzeszą zniknionych ciągle rzesza żywa,
Jako strumienie, mieszają swe ścieki
I jedna drugą ze sobą porywa.

Wszyscy są wspólną związani macierzą:
Umarli, żywi, wielcy, czy też mali,
Wrogowie, bracia, dalecy lub bliscy,

Jedni od drugich nawzajem zależą,
Odpowiadając, na wypadków fali,
Każdy za wszystkich, za każdego wszyscy!

XV

Na dzieci spada win ojcowskich brzemie,
Lud pokutuje za grzechy zbrodniarza:
Kaźde gwałcające sprawiedliwość plemię,
Cierpień i nieszczęście ludzkości przysparza.

Złe, jak zaraza, w lot obiega ziemię...
A czy na sobie łachman ma nędzarza,
Czy też w książęcym kroczy diademie,
Zatrutym tchnieniem cały świat zaraża.

Wobec praw, światem rządzących wszechwła-
[dnie,
Nikt ujść nie może złych wpływów przekleń-
[stwa;
Kaźdemu w dziele część winy przypadnie

Nawet za cudze zbrodnie i szaleństwa;
Bo kaźdy nosi w duszy swojej na dnie
Odpowiedzialność wspólną człowieczeństwa.

XVI

Dzień, w którym jeden z grzesznych braci koła,
Najświętsze prawa zdeptawszy niegodnie,
Rozpali krwawą pożarów pochodnię,
Widziadło mordów na ziemię przywoła

I zaćmi światła narodów przewodnie,
Dzień ten jest klęską dobrego anioła,
I ludzkość cała, chyląc kornie czoła,
Winna za syna pokutować zbrodnie;

Winna obchodzić we łzach i żalobie
Grzech, który nową klątwą ją obarczy
I zwróci z drogi ku jaśniejszej dobie...

Powinna szukać przeciw złemu tarczy,
Poznaniem prawdy potęgując w sobie
Miłość, co środków zbawienia dostarczy.

XVII

Co złość zniweczy, co występki zburzy,
To miłość z gruzów napowrót postawi.
Upadłą ludzkość z krwi i łez kałuży,
Gdzie ją spychają występni i krwawi,

Czyn poświęcenia podniesie i zbawi.
Myśl, która dobru powszechnemu służy,
Wiedzie za sobą duchów zastęp duży,
Jak łańcuch w niebo lecących żórawi.

Cichych poświęceń nieustanna praca
I serc szlachetnych dobroć promienista
Grzesznej spuścizny przekleństwo odwraca

I coraz głębiej przenikając, czysta,
Powszechny skarbiec duchowy wzbogaca,
Z którego każdy czerpie i korzysta.

XVIII

Tak złe, jak dobre wspólną jest zdobyczą:
I ci, co czynem ewangelię głoszą,
I ci, co ziemię zbrodniami pustoszą,
Dziela się plonem i spadek dziedziczą;

I wszyscy następstw ciężary ponoszą,
Wszyscy w dorobku ciężkim uczestniczą,
Który napawa bólem lub rozkoszą
Ludzkiego rodu duszę tajemniczą.

Ten wzajemności twardy obowiązek,
Zależność losów i wspólność winy
Z pnia odwiecznego wyrosłych gałązek,

Utrwała wielki religijny związek,
Łączący członków rozpierzchłej rodziny
W Duchu, co wszystko ożywia jedyny!

XIX

Dopiero w związku z wszechświata ogromem
Człowiek granice istnienia rozszerza;
Na mocy swego z naturą przymierza
Już się nie czuje bezsilnym atomem,

Tonącym w wnętrzu nicestwa łakomym;
Lecz odzyskuje odwagę żołnierza,
Co wie, że za nim stoi armia świeża,
I że świat cały jest dla niego domem.

Jako cząsteczka tej wielkiej potęgi,
Co się rozciąga w nieskończoność wszędzie...
Może ogarniać wszystkie widnokręgi,

Odczuć się w światów niewstrzymanym pędzie,
I na tle czasu wijącej się wstęgi
Żyć w tym, co było, co jest i co będzie.

XX

W nieprzerwalności zbiorowego bytu
Duch, współistnienia wieczystego świadom
Może z spokojem, z jasnego błękitu,
Swego pochodu przyglądać się śladom:

Cząstkowym zgonom, pozornym zagładom
Burzliwej fali ciemnemu korytu,
Lecącym w otchłań stuleci kaskadom,
Pomrokom nocy i jutrzeńkom świtu.

Jemu nie wydrze błogiego spokoju,
Ziemskich męczarni małoduszna trwoga,
Nie wprawi w rozpacz dziki zamęt boju,

Ani dziejowej klęski noc złowroga;
Gdyż mu widnieje pewna w przyszłość droga,
Gdzie śmierć jest stopniem wyższego rozwoju.

XXI

W coraz to wyższe przeradza się wzory
Pył ożywiony, co w przestrzeni krąży;
Ledwie się w cieniu śmiertelnym pogrąży,
Wnet go z martwośći świt rozbudzi skory.

Śmierć, to ciągłego postępu chorąży,
Który na nowe świat prowadzi tory,
Wchodzącym kielkom usuwa zapory
I z rzeszą istot w nieskończoność dąży.

Z jego opatrnej, choć surowej łaski
Świat nie zastyga pod próchnem i pleśnią,
Ale młodości wciąż przebrzmiewa pieśnią

I w coraz nowe przystraja się blaski,
I coraz dalej mknąc na fali chyżej,
Po stopniach przemian posuwa się wyżej.

XXII

Naprzód i wyżej! przez ból męczarnie,
Przez ciemną otchłań, przez śmierci podwoje,
Przez szereg istnień padających marnie,
Lecą bez końca, tłoczące się roje.

Senne zarodki, tkwiące w swoim ziarnie,
Głazy zakute w bezwładności zbroję,
Czekają tęsknie na zbudzenie swoje,
Gdy je dreszcze życia przejmie i ogarnie.

Naprzód i wyżej! w gwiazdziste ogromy,
Prąd życia coraz przyśpieszonym ruchem,
Porywa z głębi bezwiedne atomy...

I w to, co było i martwym i głuchym,
Rzuca blask myśli, sam siebie świadomy,
Przenika światłem i wypełnia duchem.

XXIII

Choć w praw niezmiennych poruszasz się kole,
Jeśli rozpoznasz twórcze ich zamysły
I ten ich związek z dobrem świata ścisły,
I cel ich wieczny w swoją wcielisz wolę

Wtedy swobodne masz do czynu pole:
Opadło jarzmo, więzy twoje przysły,
I jako czynnik chętny, niezawisły,
W rozwoju świata grasz świadomą rolę.

Lecz gdy chcesz działać ku powszechnej szko-
[dzie,

Gwałcić istotne zadania człowiecze,
Trudem Danaid wszelka twoja praca;

Jarzmo niewoli kark ci wtenczas bodzie,
Wyższa potęga przemocą cię wlecze
I przeciw tobie czyny twoje zwraca.

XXIV

Przez chwilę możesz ślełą być zaporą,
Niszczącą siłą, jadowitym lekiem,
Którym natura leczy ludzkość chorą,
Tamą rzuconą przed strumieni ściekiem,

Ażebv w wielkie rozlały jezioro,
A którą zaraz z jutrem niedalekim,
Wezbrane wody skruszą, i zabiorą:
Tylko już wolnym nie będziesz człowiekiem!

Z wolności wieczne prawa cię wywłaszczą,
A tych nie zwalczysz żadną ziemską władzą,
Ni żądłem żmii, ni tygrysa paszczą,

Choć triumf zgubnym twym dążnościami dadzą,
Z chwilą, gdy tajne cele przeprowadzą,
Wraz z tobą, dzieło twoje zaprzepaszczą!

XXV

Jako cząsteczka wszechświata myśląca,
Szukam w nim celu i o celu myślę,
Bo ten się wiąże z moim pojęciem ściśle,
Tak jak odczucie światła lub gorąca.

Znam tylko bowiem jedną z form tysiąca
Natury, w moim odbitej umyśle,
Sądzę ją z tego, co mi sama przyśle
I czym o władze mi dane potrąca.

Natura twórcza, wieczna, bezcelowa,
Nie da się zmieścić w naszych pojęć ramie,
Więc wiecznym prawom, co w swym łonie
[chowa

I konieczności co nas wszystkich łamie,
Ludzkiej dążności narzucamy znamię,
Na ludzki język tłumacząc jej słowa.

XXVI

Pierwotną białość słonecznych promieni
Ziemi widnokrąg rozczepia i łamie
Na chmurach, w tęczy różnobarwnej bramie,
I fala światła inaczej się mieni

W błękitach morza, w żywej łąk zieleni,
W złocistej łąkach i zórz krwawej plamie . . .
I każdy z kwiatów innej barwy znamię
W grze malowniczych odbija odcieni.

Podobnie światło prawdy w ziemskiej sferze,
Przez mgły spływając w tęczę się rozwionie,
Gdy ludzkim duszom niesie blaski świeże:

Każda z nich w siebie inne barwy chłonie,
Każda za całość jedną cząstkę bierze:
Tę, którą sama w swym odbija łonie.

XXVII

Smutny jest schyłek roku w mgieł pomroce!
Gdy wiatr jesienny zwiędłym liściem miota,
Ostatnie kwiaty, ostatnie owoce,
Strąca i grzebie pod całunem błota.

Smutniejszy koniec bezsilny żywota,
Osamotnienie starości sieroce.
I długie, ciemne, pełne cierpień noce,
W których się ludzka rozprzęga istota.

Lecz najsmutniejszy jest duchowy schyłek
Zamierającej powoli epoki,
Gdy w niwecz poszedł pokoleń wysilek,

Strawiwszy wszystkie żywotniejsze soki,
A w spadku szereg błędów i pomyłek
Na dni ostatnie rzuca cień głęboki!

XXVIII

Ci, którzy jasność żegnają zniknioną,
Gdy burza całe zniweczyła żniwo,
Nad spustoszoną rozpaczając niwą,
Myślą, że wszystko ciemności pochłoną,

Dalszych rozkwitów mroząc siłę żywą.
Tymczasem pod tą ciemności osłoną,
Pod dobroczynną martwości pokrywą
Tysiącem kielków drży już ziemi łono.

Ręką natury rozrzuconych skrzętną .
W spowiciu nocy, w zimowej zamieci,
Bijące wewnątrz nie ustaje tętno.

I życie w głębi walką wre namiętną,
By się wydobyć, kiedy je oświeci
Brzask nowych wiosen lub nowych stuleci.

XXIX

Póki w narodzie myśl swobody. żyje,
Wola i godność i męstwo człowiecze,
Póki sam w ręce nie odda się czyje
I praw się swoich do życia nie zrzecze,

To ani łańcuch, co mu ściska szyję,
Ani utkwione w jego piersiach miecze,
Ani go przemoc żadna nie zabije,
I w noc dziejowej hańby nie zawlecze.

Zginać on może z własnej tylko ręki,
Gdy nim owładnie rozpacz senna, głucha,
Co mu spoczynek wskaże w grobie miękkiej,

I to zwątpienie. co szepcze do ucha:
Że jednym tylko lekarstwem na męki
Jest dobrowolne samobójstwo ducha.

XXX

Taką jak byłaś, nie wstaniesz z mogiły!
Nie wrócisz na świat w dawnej swoje krasie;
Musisz porzucić kształt przeszłości zgniły,
Na którym teraz robactwo się pasie.

Musisz zatracić nie jeden rys miły,
I wdzięk w dawniejszym uwielbiany czasie...
Lecz nową postać wziąć i nowe siły
I nowych więków oręż mieć w zapasie.

Grób cię nie odda światu widmem bladym,
Z mogilnej pleśni i zgnilizny plamą,
Do wnętrza śmierci przesiąkniętą jadem...

Lecz przystrojona w królewski diadem,
Musisz do życia wkroczyć życia bramą:
Musisz być inną, choć będziesz tą samą!

XXXI

Odkąd znów padło w proch tve czoło dumne,
Na synów twoich dziwna zeszła trwoga;
Ich wzrok bezmyślny widzi tylko trumnę,
Na której wsparła się zwycięzcy noga.

Oni nie wiedzą, że ty prochom dziątek
Dzś posłuchanie dajesz tam u Boga,
I śmiań narzekać, o najlepsza z matek!
Żeś porzuciła ich na pastwę wroga.

Lecz ty wymową cichą, apostolską,
Ucz ludy zginać przed togą kolana,
I bądź w błękitach tą harfą eolską,

Po której wichry głoszą imię Pana.
Jasnym sztandarem duchów bądź, o Polsko!
Póki nie wstaniesz z prochu nieskalana.

XXXII

Nie myśl o szczęściu! nie myśl o miłości! —
Dla nas ten owoc nigdy nie dojrzewa:
My rwiemy inny z przeklętego drzewa,
Co daje wiedzę bytu i nicości.

My znać nie możemy uniesień młodości,
Bo już w kolebce truciznę nam wlewa
Widmo haniebnej i krwawej przyszłości,
I do snu pieśni straszliwe nam śpiewa.

Więc młodość nasza mija bezpowrotnie
Jak błyskawica wśród bezpłodnej burzy,
Serce się nasze wypali i znuży

I nic nie zdoła podnieść go istotnie,
A gdy nie możemy żyć i cierpieć dłużej...
To na wygnaniu giniemy samotnie.

XXXIII

Pośród narodów wyście nędzarzami!
Z dumą hidalgów nosicie łaachmany,
I odkrywacie światu swoje rany,
Aby zarabiać na chleb krwią i łzami.

Własną nikczemność znacie dobrze sami,
Więc się chowacie w pamiętek kurhany,
I gdy kto skargę podniesie stroskany,
Wołacie, że on świętość grobu plami.

Trzeba mieć litość nad wami, nędzarze,
Trzeba wam życzyć o biedni, ułomni!
Żebyście ciche zalegli cmentarze

I z tego świata zeszli bezpotomni;
Śmierć wam tę jedną nadzieję ukaże:
Że o was Polska i przyszłość zapomni!



III
W Tatrach

MIECZYŚLAWOWSTWU PAWLIKOWSKIM

*na pamiątkę chwil wspólnie spędzonych
w Zakopanem z wyrazem przyjaźni.*



WSTĘP

O matko ziemio, dobra karmicielko!
Żywisz nas hojnie przy swej piersi mlecznej
Niebieskiej rosy ożywczą kropelką
I promieniami jasności słonecznej,
Które przerabiasz na chleb, co się mnoży
Codziennym cudem wiecznej myśli bożej.

O matko ziemio! Ty nam dając ciało,
Zbudzoną duszę karmisz na swym łonie;
Dajesz jej poznać świata piękność całą,
Oprowadzając przez błękitne tonie,
I po gwiazdzistym unosisz przestworze
Co dzień poranku odnawiając zorze.

Roztaczasz przed nią kształtów nieskończoność,
I coraz nowe przesuwasz obrazy;
Stroisz się w błękit morza, w łąk zieloność,
W błyszczące piaski, w niebotyczne głązy;
Rozwijasz widzeń tęczę malowniczą
I świeżych wrażeń napawasz słodyczą.

Ty ją przenikasz barw i dźwięków falą,
Przez zmysły drogę otwierając do niej;
Rzucasz w nią ogień, co się wiecznie palą
W obłoku marzeń i kwiecistej woni;
Podajesz przędzę, którą ona bierze,
Snując z niej dalej pasma uczuć świeże.

Ty jej swe wszystkie skarby zgromadzone
Rzucasz na pastwę z rozrzutnością matki;
Pozwalasz zdzierać z twarzy swej zasłonę,
I coraz nowe zadajesz zagadki,
Kryjąc w swej dłoni, jako Izys czarna,
Kwiaty lotosów i pszeniczne ziarna.

Dobra piastunko! Trzymasz nas tak mocno
Na swojej piersi, co się ciągle chwieje;
Sny cudowności zsyłasz porą nocną,
A we dnie własne opowiadasz dzieje,
Nawet prostaczkom dając mądrość wielką,
Dobra piastunko i nauczycielko!

My się nie możemy oderwać od ciebie,
Ciężarem ciała z ciałem twym spojeni,
I chociaż myślą wzlatujem po niebie,
Sny zaświatowe ścigając w przestrzeni,
Musimy zawsze czuć pod nogą swoją
Ten grunt, na którym kształty nasze stoją.

Musimy z tobą w zgodzie żyć: inaczej
Duch się obłąka w mgłę urojeń ciemnej,
W złudnych zachwytach, w bezpłodnej rozpaczce,
W sennym omdleniu, lub walce daremnej,

I poza światem pędzi żywot chory,
Nie mając twardej dla siebie podpory.

Musim żyć z tobą w zgodzie do mogiły,
Chociaż cel wyższy stawiamy przed oczy:
Pragnąc zaczerpnąć świeży zasób siły,
Każdy z nas musi w walce, którą toczy,
Tak, jak Anteusz, dotykać się ziemi,
Bośmy, o matko, wszyscy dziećmi twymi.

Na twoich błoniach wschodzimy, jak kwiaty,
A ty stosownie nam wyznaczasz grządki:
Każdy dla siebie znajdzie grunt bogaty,
Swych poprzedników prochy i pamiątki,
I każdy tylko na swej własnej niwie
Może zakwitać silnie i szczęśliwie.

Tam tylko znajdzie odpowiednie soki,
Właściwy zakres i warunki bytu,
Skworny blask słońca, albo cień głęboki,
Modrą toń jezior, lub krawędź granitu.
Tam kształt i barwę właściwą przybiera,
Na czas dojrzewa i na czas zamiera.

Zna się z burzami swej ojczystej strony,
I z tchnieniem wiosny, która go upieści,
I od początku idzie uzbrojony
Na rozkosz życia i jego boleści.
Więc nic dziwnego, że nad wszystkie inne
Musi ukochać zagony rodzinne.

To przywiązanie, które ludzie prości
Czerpią z cichego z naturą przymierza,

Stwarza ojczyznę, jako cel miłości,
I coraz więcej zakres swój rozszerza,
Aż cały krąg twój obejmie, o ziemiol
Razem z zmarłymi, co w grobowcach drzemią.

A kto ukochał ciebie sercem swoim,
I w twe objęcia chyli się z tęsknotą,
Tego pogodnym obdarzasz spokojem,
Spojrzeniem matki i matki pieśczętą.
W zaczarowane znów wprowadzasz koło,
Wracając młodość jasną i wesołą.

Chociaż do ciebie przybędzie złamany,
Uchodząc losów ciężkiego rozbicia,
Ty dobrotliwa zagoisz mu rany,
I spędzisz z duszy palący ból życia,
I cierpiącego pojednasz człowieka
Z tym, co już przeżył, i z tym, co go czeka.

I wszystkim, którzy do ciebie się garną,
Pozwalasz zebrać odpowiednie żniwo.
Młodzieńcom dajesz serca moc ofiarną,
A starcom dajesz wytrwałość cierpliwą,
Zadowolenie, co twarz kraszi bladą,
I uśmiech, z jakim do grobu się kładą.

Bo ty, o matko, masz dla swoich dzieci
Zawsze miłością promienne oblicze,
I twój wzrok jasny, co nam w życiu świeci,
Jeszcze rozwidnia mroki tajemnicze,
Kiedy zamykasz miłosierne łono
Nad garścią prochów, prochom powróconą.

RANEK W GÓRACH

Wyzłoczone słońcem szczyty
Już różowo w górze płoną,
I pogodnie lśnią błękity
Nad pogiętych skał koroną.

W dole lasy, skryte w cieniu,
Toną jeszcze w mgłę perłowej,
Co w porannym oświetleniu
Mknie się zwolna przez parowy.

Lecz już wietrzyk mgłę rozpędza
I ta rwie się w chmurek stada,
Jak pajęcza, wiotka przędza
Na krawędziach skał osiada.

A spod sinej tej zasłony
Świat przegląda coraz szerzej,
Z nocnych, cichych snów zbudzony,
Taki jasny, wonny, świeży.

Wszystko srebrzy się dokoła
Pod perlistą, bujną rosą;
Świerki, trawy, mchy i zioła
Balsamiczny zapach niosą.

A blask spływa wciąż gorętszy,
Coraz głębiej oko tonie;
Cudowności świat się piętrzy
W wyłoczonej swej koronie.

Góry wyszły, jak z kąpieli,
I swym łonem świecą czystym,
W granitowej świecą bieli,
W tym powietrzu przeźroczystym.

Każdy zakręt, każdy załom
Wyskakuje żywy, dumny:
Słońce dało życie skałom,
Rzeźbiąc światłem ich kolumny.

Wszystko skrzy się, wszystko mieni,
Wszystko w oczach przeistacza:
Gra przelotnych barw i cieni
Coraz szerszy krąg zatacza.

Już zdrój srebrną pianą bryzga,
Gdy po ostrych głazach warczy;
Już się żywszy odbłask ślizga
Po jeziorek sinej tarczy.

Już pokraśniał rąbek lasu,
Już się wdzięczy i uśmiecha

Brzeg doliny, a z szalasu
Dolatuja śpiewne echa.

Przez zielone łąk kobierce
Dzwoniąc, idą paść się trzody...
Jakaś rozkosz spływa w serce,
Powiew szczęścia i swobody.

Pierś się wznosi, pierś się wzdyma
I powietrze chciwie chwyta.
Dusza wybiec chce oczyma
Upojona, a nie syta.

Niby lecieć chce skrzydlata
Obudzona, jak z zaklęcia,
I tę całą piękność świata
Chce uchwycić w swe objęcia.

KOŚCIELISKA

Oto tatrzańska sielanka
Łagodną wabi ponętą,
Jak dziewczę, co uśmiechniętą
Twarzyczką wita kochanka.
Przez skał rozdartych podwoje
Przełąda wąwozu łono,
Gdzie szumią srebrzyste zdroje
Melodię głazom nuconą;
Przez skał rozdartych podwoje
Świerk zwiesza konary swoje.
I słońca blask się przeciska — —
To Kościeliska!

Zielona skacze dolina
Przez strumień z brzegu do brzegu.
Gdzie potok wstrzyma ją w biegu,
Na góry łączką się wspina
I postać przybiera sielską
Strojąc się w trawę i zielsko
I kwiaty do swego wianka
Wplatając ręką niedbałą . . .

A dołem skryta pod skałą,
Z marmurowego wciąż dzbanka,
Czysta Najada swe fale
W przejrzystym sączy kryształe,
I strąca potok z urwiska — —
To Kościeliska!

Pionowo sterczące skały
Iglami świerków się jeżą,
W ciemną się zielen. ubrały,
Lecz w balsamiczną i świeżą,
Z której gdzieniegdzie szczyt biały
Kamienną wytryśnie wieżą,
Lub nagie wapienia ostrze
Szeroko pierś swą rozpostrze.
Za każdym drogi zakrętem
Cały krajobraz się zmienia:
Jakby w królestwie zaklętym
W głąz zamienione marzenia,
Dziwaczne fantazji gmachy
Z wejrzeniem coraz to nowym.
Wiszące ściany i dachy
Tłoczą się ponad parowem,
Lub uciekają w lazury
Ręką marzącej natury
Wypchnięte z ziemi ogniska — —
To Kościeliska!

Srebrzyste wstęgi katarakt,
Oprawne w zielony szmaragd
Mchów rozesłanych na skałach
I drobnolistnych paproci;

W powietrzu pełno wilgoci
I chłód rzeźwiący w upałach;
Zwalone kłody i mosty,
Łomy strącone z wierzchołków,
Rdzawe na głazach porosty,
Co woń roznoszą fiołków,
Żywiczne świerków oddechy,
Błękitnych niebios uśmiechy
I spokój dla duszy słodki,
I zawieszony wysoko
Nad niedostępną opoką
Gwiazdziste srebrne szarotki.
Wszystko się srebrzy lub złoci.
W kropelkach świeżej wilgoci
Tęczową barwą połyska — —
To Kościeliska!

NOC POD WYSOKĄ

Wieczór się zbliżał, a nad naszą głową
Wciąż wyrastały prostopadle ściany
I wciąż się zdawał oddalać na nowo
Wierzchołek w słońca promieniach kąpany.
Więc trzeba było myśleć o noclegu,
Zanim nas zdradne ciemności zaskoczą
Na skał urwanych przepaścistym brzegu.

Właśnie się naszym ukazała oczom
Wciśnięta między dwa ramiona góry
Kotlina pełna granitowych łomów,
Które z daleka streczały, jak mury
Zdobytej twierdzy, lub zburzonych domów.
Była to naga, posiępna kotlina,
Cieniem dwóch groźnych wierzchołka piramid
Pokryta. W głębi toń jeziora sina
I mchu na głazach zielony aksamit.
Zresztą ni trawki, ni krzewu: jedynie
Woda i głazy, i mchy w rozpadlinie.

Tu na jeziora zesliśmy wybrzeże
Między zwalone bryły granitowe,
By obrać sobie ciche na noc leże
I mech jedwabny podesłać pod głowę
W miejscu, gdzie wielkie głązy pochylone
Od nocnych wichrów dawały osłonę.
Na niebie jeszcze dzień panował biały,
A słońce, góry zasłonięte grzbietem,
Barwiło w szczytach wyzębione skały
Złotem, purpurą albo fioletem.
Czasu dość było do zmierzchu. Usiadłem
Tuż nad zmrózionym jeziorą zwierciadłem
Co z brzegów w śniegi oprawne i lody,
W dali marszczyło czerniejące wody.
Patrzałem: jako w pracy nieustannej
Fala srebrzystą powłokę podmywa,
Aż tafla lodu, dźwięk wydając szklanny,
Pęka i dalej z szelestem odpływa.
Patrzałem: jako na posępnej toni
Kra oderwana krąży wkoło brzegu
Jak jedna drugą potraça i goni,
Na trud próżnego skazana obiegu.
I żalowałem, że się próżno kręci,
Przypominając sobie ludzką dolę,
W której, ach! — nieraz, wszystkie dobre chęci
W zaklętym muszą obracać się kole.

Tymczasem dołem gęstsze cienie rosły,
Bory zsiniały pod mgieł mleczną szatą,
I szczyt nad głową zagasnął wyniosły,
Pobladł i barwę przyjął popielatą.
Wraz z znikającą jasnością promienną

Ostatnie życia uchodziły ślady:
Mrok zwiększył martwość pustkowiecia kamienia.
I obszar zastygł, posępny i blady,
I swym straszliwym przytłoczył ogromem
Myśli zbłąkane w państwie nieruchomym.
Geniusz tych wyżyn, surowy i groźny,
Powstał z przepaści, mierząc mnie oczyma;
Swego oddechu słał mi powiew mroźny
I naprzód rękę wyciągnął olbrzyma,
Rozpościerając dokoła nade mną
Milczenie pustyń, nieskończoność ciemną
I tę samotność zamarłego świata,
Co dziwnym smutkiem ludzką pierś przygniata.
Samotność, w której milczącym ogromie
Człowiek swą słabość poznaje widomie.
I chce się cofać przed nieznaną mocą.
Przed rozeslaną na przepaściach nocą.
Przed skrytych potęg gwałtownych objawem,
Przed niezblaganym bezlitosnym prawem,
Przed rozpasanych żywiołów oddechem,
Przed nieświadomym... tajnym... nieujętym..:

Uczuciem takiej grozy pokonany,
Między zaciszne powróciłem ściany,
Gdzie towarzysze legli już strudzeni
Na mchu, pod dachem gościnnych kamieni
I sam złożyłem głowę na posłaniu
W półsennym teraz pogrążon dumanium.

Noc gęste mroki zapuściła wszędzie;
Nawet błękitny niebios przeźroczyście,
Oprawne dołem w czarnych skał krawędzie,
Stały się więcej ciemne. przepaściste.

I tylko ową błękitną ciemnotę
Gdzieniegdzie gwiazdy przetykały złote.
Ciemność rzuciła pomost przez otchłanie
I wyrównała wnętrza gór podarte;
Zostało jedno. wielkie rusztowanie,
Zbitych granitów grzbiety rozpostarte,
Ponad którymi dwie wierzchołka wieże,
Dwa wyniesione ostrokągi cieniu.
Chwiać się zdawały w niebieskim eterze
Przy migotliwym drżących gwiazd promieniu
Cisza... A jednak w tej pozornej ciszy
Wsluchane ucho ciągle wrzenie słyszy,
Szmer nieustanny, na który się składa
Wszystko, co głosem z życia się spowiada:
I woda, która gdzieś w szczelinie syczy,
I fal powietrza szelest tajemniczy,
I pękających gładów łoskot głuchy,
I wszystkie świata nawpół senne ruchy.
Czasami skała u szczytu wisząca,
Stoczy się na dół i z przeciągłym grzmotem,
O najeżone ściany się roztrąca;
Huk długo echa powtarzają potem,
Aż rozsypany gład na drobne części
W wąwozie gradem kamieni zachrzęści.

I znowu wszystko wraca do spokoju...
Tylko, jak dawniej, szepcą z sobą góry
Podmuchem wiatru i szemraniem źródłu;
I znowu płynie cicha pieśń natury
W gwiazdziste sfery, w przestrzeń nieskończoną,
Gdzie wszystkie pieśni zdążają i toną.
I tam się wiąże i zlewa, i brata
Z całą harmonią zaziemskiego świata.

W ślad za tą pieśnią myśli moje biegły,
Wyswobodzone z tłoczącej je grozy.
Wolny, choć prawom powszechnym podległy,
Duch mój wstępował na gwiazdziste wozy
I tracił z oczu ludzkich istnień chwile
I wydeptany ślad na ziemskiej bryle,
I zapominał o swojej obroży,
I o boleści, co go we śnie trwoży.
On się zanurzył w źródle wiecznie-żywym,
Poruszającym wielkie koło bytu;
Uczuł się jednym łańcucha ogniwem
Rozciągniętego przez otchłań błękitu.

On znalazł wspólne ognisko żywotów
I związek z całym ogromem stworzenia,
Z wieczystym duchem, co mu podać gotów
Rękę z ciemności, albo z gwiazd płomienia.
Więc w rozpostartej na przepaściach nocy
Już opuszczenia nie czuł i niemocy
I mógł się poddać, jako drobny atom,
Tej twórczej myśli, co przewodzi światom,
I z nieodmiennym zgodzić się wyrokiem,
I odpoczywać, jak pod matki okiem.

LETNI WIECZÓR

Już zaszedł nad doliną
Złocisty słońca krąg —
Ciche odgłosy płyną
Z zielonych pól i łąk.

Dalekie ludzi głosy,
Daleki słyhać śpiew —
I cichy szelest rosy
Po drżących liściach drzew.

Promieni gra różana
Topnieje w sinej mgle —
A świeży zapach siana
Skoszona łąka śle.

Wraz z wonią polnych kwiatów,
Z gasnącym blaskiem zórz —
Cicha poezja światów
W głąb ludzkich spływa dusz.

W półcieniu pierś olbrzymią
Podnoszą widma gór —
Nocnymi mgłami dymią,
Wdziewają płaszcze chmur.

I wiążą swoje skrzydła,
Podarty kryjąc stok,
Jak senne malowidła
Powoli toną w mrok.

Wieczoru blask niepewny
Oświeśla obraz ten...
Ludzie w zadumie rzewnej
Gonią piękności sen.

PODCZAS BURZY

Dołem wicher ciężkie chmury niesie,
O skaliste roztrąca urwiska;
Burza huczy po zczerniałym lesie,
I gromami w głąb wąwozów ciska;
A tam w górze, gdzie najwyższe szczyty,
Lśnią pogodne, jak dawniej, błękity.

Ach! tak samo na drogach żywota
Nieraz burza szaleje nad głową,
Wicher nami nad przepaścią miota,
A grom ciemność oświetla grobową;
Jednak wyżej widać błękit nieba...
Tylko wznieść się nad chmury potrzeba.

LIMBA

Wysoko na skały zrębie
Limba iglastą koronę
Nad ciemne zwiesiła głębie,
Gdzie lecą wody spienione.

Samotna rośnie na skale,
Prawie ostatnia już z rodu,
I nie dba, że wrzące fale
Skałę podmyły u spodu.

Z godności pełną żalobą
Chyli się ponad urwisko
I widzi w dole pod sobą
Tłum świerków rosnących nisko.

Te łatwo wschodzące karły,
W ściśniętym krocząc szeregu,
Z dawnych ją siedzib wyparły
Do krain wiecznego śniegu.

Niech spanoszeni przybysze
Pełzają dalej na nowo!
Ona się w chmurach kołysze,
Ma wolne niebo nad głową!

Nigdy się do nich nie zniży,
O życie walczyć nie będzie,
Wciąż tylko wznosi się wyżej
Na skał spadziste krawędzie.

Z pogardą patrzy u szczytu
Na triumf rzeszy poziomej.
Woli samotnie z błękitu
Upaść strzaskana przez gromy.

WODOSPAD SIKLAWY

Jakaż to prządka snuje białe nici,
Które wśród gładów migają tak żywo,
Że je zdaleka ledwie wzrok pochwyci?
Jakaż to prządka rozpierzchłe przędziwo
Łowi na skałach strojnych w szarą pleśń
I z drobnych nitek srebrną wstęgę przędzie
I przez granitów przewiesza krawędzie,
Nucąc wieczyście jednobrzmiącą pieśń?

To wartki strumień szumiącej Siklawy
Zagarnia wkoło śnieżne ścieki gór,
Na nieć swą czarne nawiązuje stawy
I wiedzie głośny z kamieniami spór.
To potok wzbiera siatką wód pajęczą
I coraz głębiej pierś wąwozu porze,
I znika w ciemnej gardzieli otworze,
Kończąc krajobraz wodospadu tęczę.

Skromny to potok. A jednak w swym biegu
Tyle piękności naszych gór jednoczy:
Chylą się nad nim ściany pełne śniegu,

I gonią za nim czarnych stawów oczy,
Za nim piętrami spadających wzgórz
Ciągną się gruzem zasłane rozdroża,
Jak falujące a zastygłe morza,
Co skamieniały wśród pierwotnych burz.

Skromny to potok. Lecz tak wdzięcznym
[rzutem
Zamyka wąwóz na błękitów tle,
Tak pięknie ginie w wnętrzu skał rozprutym,
Znikając w tęczach albo w sonej mgle.
Skromny wodospad. Nie ma w świecie sławy,
Lecz tak mu pięknie w ukrytej czeluści,
Gdy na wiatr wstęgi srebrzyste rozpuści
Skromny wodospad szumiącej Siklawy.

ULEWA

Na szczytach Tatr, na szczytach Tatr,
Na sinej ich krawędzi
Króluje w mgłach świszczący wiatr,
I ciemne chmury pędzi.

Rozpostarł z mgły utkany płaszcz
I rosę z chmur wyciska,
A strugi wód z wilgotnych paszcz
Spływają na urwiska.

Na piętra gór, na ciemny bór
Zasłony spadły sine,
W deszczowych łzach, granitów gmach
Rozpłynął się w równinę.

Nie widać nic: błękitów tło
I całe widnokręgi
Zasnute w cień, zalane mgłą,
Porznięte w deszczu pręgi.

I dzień, i noc, i nowy wschód
Przechodzą bez odmiany:
Dokoła szum rosnących wód,
Strop niebios ołowiany.

I siecze deszcz i świszczce wiatr,
Głośnieją się potok gniewa;
Na szczytach Tatr, w dolinach Tatr
Mrok szary i ulewa.

MACIEJOWI SIECZCE

Przewodnikowi w Zakopanem.

Mój przewodniku! Tyś mnie wiódł przez góry,
Dając mi poznać ich poezję świeżą,
Nagą, dziewiczą piękność tej natury,
Nie zeszpeconą mdłych legend odzieżą,
Nie rozdrobnioną na powszednie rysy,
Zdawkowe s.owa, zdawkowe opisy.

Tyś ją pojmował swoim sercem prostym
Wiernie, jak staje wyciosana z gładów,
Nie pociągałeś fałszywym pokostem,
Co kryje nicość bezmyślnych obrazów,
Ale umiałeś jędrne znaleźć słowo,
Aby jej wielkość wyrazić surową.

Tyś mnie nauczył czuć ją silniej, lepiej,
Bez wykrzykników i przenośni bladej,
I w dzikich formach, które ona sklepi,
Nie szukać natchnień niemieckiej ballady,
Lecz na nią okiem spoglądać górala,
Co wszystkie wierchy rozpoznaje zdala.

Tyś mnie nauczył, drapiąc się na turnie,
Nie brać przyborów romantycznej muzy
I na klasycznym nie stąpać koturnie
Przez naszych źlełów kamieniste gruzy,
Ale wesoło, bez zawrotu głowy,
Mijać głęboko wycięte parowy.

Pamiętam — nieraz, siedząc na upłazku,
Rzeźbiłeś słowem Tatr skalisty wątek.
Każdy szczyt w wiernym schwytałeś obrazku,
Każdej doliny koniec i początek
I piętr górzystych oznaczałeś biegle
Trawiaste kopy i lesiste regle.

Umiałeś kształty każdego olbrzyma
Z gór zębatego grzebienia wydostać,
Wskazać, jak drugich ramieniem się trzyma,
Jaką przybiera z każdej strony postać,
I na swych palcach przedstawiałeś żywo
Każde odrębne łańcucha ogniwo.

Ukazywałeś ciemne wód lusterka
W wgłębinach, w śniegu błyszczące oprawi,
Siklawy w przepaść skaczące z pięterka,
Wnętrza wąwozów splątanych ciekawie,
Kierunek dolin i strumieni koryt,
Wszystkim właściwy nadając koloryt.

Wszystko, coś mówił, miało więcej wdzięku,
Niż romantyczna daje opisowość,
Bo mówiąc, miałeś pierś natury w rękę,

A każde słowo dziwną miało nowość,
Świeżą poezję górskiego powietrza,
Dla której rymów i porównań nie trza.

I nie prawileś mi spłowiałej bajki
O Dziwożonach, lub zaklętych skarbach,
Lecz dym puszczając z swej króciutkiej fajki,
Juhasów w żywych malowałeś farbach,
Życie w szałasach i życie na hali,
Dole-niedolę pasterskich górali.

Ich ciemne twarze i kożuszki smolne,
Zgrzebne koszule, ciupagi i pałki
Więcej mi serce rozgrzać były zdolne,
Niż wszystkie Gnomy, Ondyny, Rusalki,
Co w Tatr poważnych wyniosłym łańcuchu
Tak wyglądają, jak kwiat przy kożuchu.

Żadne się bowiem widmo nie przyswoi
Tej wyniesionej pod niebo pustelni,
Gdzie tylko jeden duch na straży stoi
Bez kształtów, w które chcą go wprządzić
[śmiertelni,
Duch wszechświatowy, duch wód i kamieni,
Co się w milczącej unosi przestrzeni.

Przy nim już nie ma dla fantazji tworów
Odpowiedniego miejsca wśród tych wyżyn.
Wielka symfonia turni, hal i borów
Nie znosi ludzkich trefień i postrzyżyn,
Nie znosi skrzydeł przyprawnych z tektury,
Gdy sama cała wlatuje do góry.

Ty czuleś dobrze, że wielkość przyrody
Nie potrzebuje bielidła i rózu,
Że miło patrzeć na schodzące trzody,
Gdy z gór pędzone w szarym skaczą kurzu,
I że tatrzańskiej polany nie szpeci
W koło szalasu chwast na stosach śmieci.

Tyś czuł, że prawda piękna, chociaż naga,
Gdy jest odczuta silnie a głęboko —
Że tracić musi dzika gór powaga,
Gdy fantastyczną okryć ją powłoką,
I że nie trzeba robić z skał posągów,
Ani wytwarzać różnych dziwolągów.

Tyś czuł, że każda z okolic mieć musi
Swoją wdzięk właściwy i wyraz odrębny,
Że Tatrom trzeba bydła, a nie strusi,
Że zapatrzone w niebo wiejskie bębny
Piękne są, tworząc harmonię pastuszą,
Do której trzeba dostroić się duszą.

Twa estetyka prosta, domorośla,
Znała jednakże widnokręgi szersze.
I choć nie byłeś poetą z rzemiosła,
Co mierzy swoje uczucia na wiersze,
Choć nie goniełeś w laur zmienionej Dafne,
Poczucie piękna zawsze miałeś trafne.

I realizmu powszedniego mistrze
Nie mogą ciębie w swej zamieścić szkole,
Boś kochał wszystko jaśniejsze i czystsze,

I nie lubiłeś pozostawać w dole,
Lecz rozumiałeś, że ludziom potrzeba
Piąć się, by wyrzeć oczami do nieba.

Dobrze więc było mnie pod twoją wodzą
W królestwie głazów dni pogodne przeżyć,
Chwytać wrażenia, jak same przychodzą,
Piersi nieznanym uczuciem odświeżyć,
I w samym źródle piękności i czarów
Ożywczą rosę z świeżych pić wiszarów.

Dobrze mi było, idąc za twym śladem,
Zdobywać z trudem mało znane szczyty,
I z rączych kozic spotykać się stadem,
Przeskakującym granitowe płyty,
I na najwyższym ostrej turni zębie
Ogarniać wzrokiem nieprzejrzane głębie.

A chociaż czasem deszcz lał, jakby z cebra,
I trzeba było zmoczonym do nitki
Umykać na dół z skalistego żebra,
By gdzie w szczelinie czas przeczekać brzydki...
Tyś miał w zapasie zawsze myśl wesołą,
Co rozchmurzyła zasępione czoło.

I słodko było gwarzyć z tobą potem,
Po całodziennym spoczywając znoju,
Pod rozpostartym błękitów namiotem,
Ponad brzegami jeziora lub zdroju,
Gdzieśmy budzili krzykiem echa dolin,
I chleb chwyтали, głodni jak Ugolin.

A gdy ostatnie gasły zórz kolory,
Wtedy i nasze przycichły gawędki,
Bośmy słuchali, co szumiały bory,
Co na kamieniach szemrał potok prędko.
Myśmy milczeli... a gwarzyły skały...
I tak wśród marzeń dzień nadchodził biały.

To wszystko jeszcze w mych myślach się kręci,
I wszystkie twoje starania i prace
We wdzięcznej u mnie zostały pamięci.
Więc dług wdzięczności wspomnieniami płacę,
Które, jakkolwiek spełzły na papierze,
Jednak gór tchnienie przechowują świeże.

GIEWONT

Stary Giewont na Tatr przedniej straży
Głową traca o lecące chmury.
Czasem uśmiech przemknie mu po twarzy,
Czasem brwi swe namarszczy ponury,
I jak olbrzym w poszczerbionej zbroi,
Nad kołyską ludzkich dzieci stoi.

Przez ciąg wieków wznosi dumne czoło
I wysuwa pierś swą prostopadłą,
Patrzac z góry na wieśniacze siolo,
Co pokornie u nóg jego siadło.
Przez ciąg wieków straż swą nad nim trzyma
Z troskliwością dobrego olbrzyma.

Wypiastrawał już pokoleń wiele,
Które wieczny związek z nim zawarły,
Z nim złączyły swe losy i cele,
Przy nim żyły i przy nim pomarły,
Nawet myślą spod jego opieki
Nie wybiegły nigdy w świat daleki.

Wypiastował cały ród górali —
On ich widział, gdy dziećmi radośnie
U stóp jego, bawiąc się, pelzali,
Widział młodzież, jak mu w oczach rośnie,
Jak się krząta koło swego plonu,
Widział potem starców w chwili zgonu.

Zna więc dobrze bieg ich trwania krótki,
W ciasnym kółku zamknięte nadzieje,
Ich radości, pragnienia i smutki,
Co ich boli, co im piersi grzeje,
Zna zabiegi i spory gorące
O kęs ziemi na polach lub łące.

On się przyjrzał kolejom powszednim,
I był sędzią już niejednej sprawy.
Nieraz w nocy rozegrał się przed nim
Jaki dramat posępny i krwawy.
Widział różne skryte ludzi czyny,
Widział cnoty, widział także winy.

Lecz choć czoło chmurami powleka,
Zbyt surowo nikogo nie sądzi,
Bo zna dolę biednego człowieka,
Który — idąc na oślep — zabłądzi,
I o głodzie wzrok obraca chciwy
Na żyźniejsze swych sąsiadów niwy.

Raczej czuje dla tej biednej rzeszy
Wielką litość w piersi swej kamienej.
Od kolebki bawi ją i cieszy,

Z każdą chwilą biorąc strój odmienny,
Przed jej okiem stroi się i wdzięczy,
Pożyczając wszystkie barwy tęczy.

Dla niej wstaje w gęstej mgły zasłonie,
Którą zwolna zrzuca z ramion we dnie,
Dla niej w wieczór cały ogniem płonie
I szarzeje, mroczy się i blednie,
Zawieszając księżyc w swojej szczyrbie,
Jakby srebrną Leliwę miał w herbie.

Dobry olbrzym! troszczy się o ludzi,
Co się jego powierzyli straży:
Śpiące dusze z odrętwienia budzi
I piękności poczuciem je darzy,
I rozrzuca nad dzieciństwa nocą
Pierwsze blaski, które życie złocą.

Tak, jak w baśni: kocha się w pasterce
Dobry olbrzym i dobiera kluczy,
By otworzyć nawpół dzikie serce.
Tak, jak w baśni: swych tajemnic uczy,
Uczy znosić ciężkie losu brzemie,
I miłować swą rodzinną ziemię.



IV
Odpoczywa



I.

Odpoczywa, złożył skronie
Na jedwabnych mchach,
Na pościeli miękkiej tonie
W nieprzerwanych snach.

W leśnej ciszy odpoczywa
Pośród wonnych tchnień,
Paproć włosy mu pokrywa,
Wkoło chłód i cień.

Czarne świerki go kołyszą,
Szepcząc tęskny śpiew,
A motyle złote wiszą
Na gałązkach drzew.

Na ramionach mu zielony
Rozpostarł się bluszcz,
I gwar ptasząt przytłumiony
Dolatuje z puszczy.

II.

Noc zapada, z ziemi wstają
Zwolna srebrne mgły,
Szare płaszcze zarzucają
Na wilgotne mchy.

Mkną i płyną, jak jeziora
Zalewają las.
W lesie straszno — duchów pora —
A on śpi jak głaz.

Księżyc przetarł swe promienie
Przez zielony dach
I przetopił mgły i cienie
W brylantowych skrach.

Odmieniają kształty drzewa
Wśród tych światła fal,
Po wierzchołkach wicher śpiewa
Dzikiem pieśni żal.

III,

Nad perłową mgławisk falą,
Błędne światła drżą,
Mgły się kłębią i kryształą,
Lżejsze w górę mkną,

Przybierają postać bladą
Eterycznych ciał,
Wstają, lecą, znów się kładą,
Gdy je wietrzyk zwiął.

Przezroczyste, srebrne mary
 Napełniają bór,
Cicho płyną przez moczary
 Jak girlandy chmur.

W księżycowym, drżącym blasku
 Mglistych dziewic splot
Ponad mgłami wszczyna w lasku
 Fantastyczny lot.

I zatacza lekkie kręgi
 Płasających dziew,
I rozwija jasne wstęgi
 Pośród czarnych drzew.

Płasa, leci wietrzna rzesza,
 Nad gęstwiną mknie,
Pod świerkami się rozwiesza
 Gdzie spoczywa w śnie.

IV.

Posplatane, dłoń za dłonią,
 Jak za cieniem cień,
Wciąż się wietrzą, pędzą, gonią
 Wśród falistych drzeń.

Wiotkie kształty i kibicie
 Rozkołysał bieg:
To nad ziemią, to w błękicie
 Srebrny znaczą ścieg.

To spadają gwiazd kaskadą,
To się łamią w łuk,
To się topią w jasność bladą
Pośród mlecznych dróg.

Uniesione w ciągłym wirze
W tańca dziki szal,
Tworzą wieńce, wstęgi, krzyże
Z eterycznych ciał.

Fosforyczne biją blaski,
Oczy ogniem skrzą,
Spod tęczy szarf przepaski
Żywiej łona drżą.

Aż zmęczone szybkim lotem
Rozpuszczają włos,
Pod zielonym drzew namiotem
Piją krople ros

I z konwalii dzwonków śnieżnych
Wysysają miód,
I w postawach nimf lubieżnych
Nocny piją chłód.

V.

Ponad świerków ciemne szczyty
Księżyc w górę wstał
I oświecił parów skryty,
Gdzie młodzieniec spał.

Zobaczyły tanecznicę
Pod arkadą drzew
Uśpionego blade lice
I na sukniach krew.

Więc zlatują z lekka, z cicha,
Koło niego tuż,
Patrzają bliżej: nie oddycha,
Serce nie drży już!

W półotwartych oczach zgasnął
Wszelki życia ślad,
I poznały, że nie zasnął,
Lecz że w boju padł.

Jak kochanki nad kochankiem
Dużę leją łzy,
Skróń mu wieńczę kwiatów wiankiem
I pierś myją z krwi...

Pieszczotami senność wieczną
Chcą mu z czoła zdjąć,
Bytu trwałość nadpowietrzną
Chcą mu w piersi tchnąć...

VI.

Wicher jęczy, zgina drzewa,
Szumi cały bór,
Nad umarłym rzewnie śpiewa
Mglistych dziewic chór:

„Powstań, powstań, zimny bracie,
Twardy sen twój rzuć!
W eterycznej duchów szacie
Znów na ziemię wróć!

„Kształtów życia ci pożyczę
Księżycowy świt,
We mgle duchów tajemniczej
Będiesz znowu kwitł.

„Ciało da ci promień drżący
Na powierzchni fal,
I cień chmurki pierzchającej
W nieskończoną dal.

„Uprzytomni się w naturze
Współczujący duch,
W harmonijnym istnień chórze
Wejdzie w wieczny ruch.

„Będiesz wszystkim, będziesz niczym.
W wszechświatowym śnie,
Zestawieniem mgieł zwodniczym
Na błękitów tle, .

„Kroplą rosy, trawy listkiem,
Światłem nocnych zórz —
Będiesz niczym, będziesz wszystkim
W oceanie dusz.

„Będiesz ludziom niewidzialny
Trącać skrzydłem świat

I z krainy idealnej
Wonny rzucać kwiat.

„Z szumem wiatru, z liści drzeniem.
Czystym światłem lśniąć,
Będiesz poił serca tchnieniem
Zaświatowych żądz.

„Więc cię pozna i dostrzeże
Sercem swoim lud
I pieśń gminna cię ubierze
W wdzięczny podań cud.

„Twe nieznane poświęcenia
I ofiarny zgon
Przejdą w dalsze pokolenia
Na przyszłości plon.

„Co noc wstaniesz czysty, świeży
I z legendy rąk
Weźmiesz złoty miecz rycerzy
I światłości krąg.

„Co noc płynąć będziesz z nami
W szafirową toń,
I nad ziemią, nad kwiatami
Spijać czystą woń“.

VII.

Na głos pieśni, wstrząsającej
Niemą grobu straż,
Zadrzał lekko młodzian śpiący
I odwrócił twarz.

Z jego piersi koralowy
Znowu prążek ściekł.
Rzucił w koło wzrok surowy
I z westchnieniem rzekł:

„Kto mnie budzi? kto mnie woła?
Poco na świat zwie?
Czyż mi jeszcze zwrócić zdoła
Jasne życia dnie?

„Czy mi odda rozkwit ciała,
Świeżych zmysłów wdzięk,
Rozkosz, co je nastrajała
W harmonijny dźwięk?

„Grób nie odda mi jutrenki
Życiodajnych sił,
Bo z zadrosnej śmierci ręki
Wraca tylko pył!

„Mamże jeszcze marnym cieniem
Na mogile stać?
Fosforycznym lśnić płomieniem
Przeszłą męką trwać?

„Co noc boleść swą odświeżyć,
Wskrzesić wspomnień moc,
I pozorem życia przeżyć
Nieskończoną noc?

„Mamże znów nawiązać krwawą,
Rozerwaną nić?
Wrócić z bólem i niesławą,
Nie mogąc się mścić?

„Między żywych pójść ukradkiem
Jedną z próżnych mar,
I pozostać zbrodni świadkiem
A współnikiem kar?

„Nie chcę bytu mglistej szaty
Na ramiona kłaść,
I przeszłości zwiędłe kwiaty
Nie chcę śmierci kraść!

„Nie chcę wieńczyć się łańcuchem,
Nie chcę stroić w pleśń,
Ani na świat wracać duchem,
Nucąc grobów pieśń.

„A i z wami, blade cienie,
Nie chcę w nocnej mgle
Księżycowe ssać promienie
Na błękitów tle.

„Chce pozostać zimny, czysty,
Na posłaniu mchów,

I spoczynek mieć wieczysty
Nieprzerwanych snów.

„Niech natury wieczna praca
Wznawia dalszy byt,
Niech proch w koło istnień wraca
Witać nowy świt,

„Niech po świecie się rozproszy
Tysiącami tchnień,
Niech odżyje tchem rozkoszy
W jasny życia dzień.

„Lecz ja spocząć chcę na wieki
Od duchów i ciał —
Równie obcy i daleki
Będę cicho spał“.

VIII.

Księżyc zaszedł w ciemne chmury,
Ukrył srebrny blask.
W lesie słychać śmiech pnury,
Nocnych ptaków wrzask.

A na nocy czarnej szacie
Znikły światła mdłe,
Rozplynęły się postacie
W lekką, siną mgłę.

I pozostał sam w ciemności
Skryty w lasu głąb.
A na straży snu cichości
Stoi świerków klomb.

Serca jego już nie nęka
Echo ziemskich burz
I nie budzi go jutrzienka:
Bo spoczywa już!



V
S o n e t y



Pierwsze uczucia, to kwiaty wiosenne,
Co się swą własną upajają wonią:
Przed żywszym blaskiem jeszcze w cień się
[chronią
I wierzą jeszcze w swe trwanie niezmiennie.

Po nich, ach! inne stubarwne, płomienne,
Znów zakwitają i za słońcem gonią:
Wiedzą, że zwiedną, więc czasu nie trwonią
I gaszą tylko pragnienia codzienne.

A później znowu wspomnień astry blade
Wschodzą samotne na schyłku jesieni,
I chcą trwać tylko i walczą z ulewą,

Widząc w około martwość i zagładę,
A w końcu jeden cyprys się zieleni,
Ponure, smutne rezygnacji drzewo.

Jednego serca! tak mało, tak mało,
Jednego serca trzeba mi na ziemi,
Coby przy moim miłością zadrżało,
A byłbym cichym pomiędzy cichymi.

Jednych ust trzeba, skądbym wieczność cał.
Pił napój szczęścia ustami moimi,
I oczu dwoje, gdziebym patrzył śmiało,
Widząc się świętym pomiędzy świętymi!

Jednego serca i rąk białych dwoje,
Coby mi oczy zasłoniły moje,
Bym zasnął słodko, marząc o aniele,

Który mnie niesie w objęciach do nieba.
Jednego serca! tak mało mi trzeba...
A jednak widzę, że żądam za wiele!

Kiedym cię żegnał, usta me milczały
I nie wiedziałem jakie słowo rzucić,
Więc wszystkie słowa przy mnie pozostały,
A serce zbiegło i nie chce powrócić.

Tyś powitała znów swój domek biały,
Gdzie ci słowiki będą z wiosną nucić,
A mnie przedziela świat nieszczęścia cały,
Dom mój daleko i nie mogę wrócić.

Tak mi boleśnie, żem odszedł bez echa,
A jednak lepiej, że żadnym wspomnieniem
Twych jasnych marzeń spokoju nie skłócę,

Bo tobie jutrznia życia się uśmiecha,
A ja z gasnącym żegnam cię promieniem
I w ciemność idę i już nie powrócę.

Po co się budzą pragnienia szalone,
Gdy ich nie można ugasić napojem?
Po co się serce wyrywa stęsknione
Do burzy, gardząc ciszą i spokojem?

Po co chce zedrzyć przyszłości zasłonę
I nieskończoność zmieścić w łonie swoim
Kiedy zaledwie dotknie się spragnione,
Usycha w żalu nad zmałym źródłem...

Próżne zabiegi! Wieczyste pragnienia!
Zwodnicze widma! Któż was nie wyklina?
A jednak mimo klątw i złorzeczenia,

Każdy na nowo wraca i zaczyna
Szukać tej mary, co świat opromienia,
I o dawniejszych klęskach zapomina.

Zejdź, jasna jutrzniol Rozlej światła strumień
Po ziemi życia nowego spragnionej,
Złotym promieniem do dna ludzkich sumień
Sięgnij i blask im nadaj nieskażony.

Rozedrzyj mroczne przyszłości zasłony
I wstydem czoła wątpiących zarumień,
I oczom, chciwym zachwyków i zdumień,
Ukaż odrodzeń szereg nieskończony.

Zejdź, jasna jutrzniol Świat przecuciem tknięty,
Z lochów, gdzie nędza z zbrodnią mieszka skry-
[cie,
Z gmachów, gdzie orgia dopija swe męty,

Wygląda ciebie w troskach czy przesycie,
I woła dziwną tęsknotą przejęty,
O świeże, lepsze, szlachetniejsze życie.

Czego ci trzeba dziś, posępny tłumie,
By piersi twoje napęlić otuchą?
Czego ci trzeba w kamiennej zadumie,
By łzy przywołać na źrenicę suchą?

Anielskie chóry, których twoje ucho
Dosłuchiwało niegdyś w pieśni szumie,
Te dziś przebrzmiały martwo, sennie, głucho . . .
I serce twoje chwytać ich nie umie.

Tyś łzy zatracił, myśląc, że cię lepiej
Ośłaniać będzie chłód twój i rozwaga,
Gdy świat ten z złudzeń rozbierzesz do naga

I myśl się w prochu, jak robak, zasklepi,
A oto zawsze niedola cię smaga,
Tylko cię żadna łza już nie pokrzepi! . . .

STOKROTKI

I.

Jakże żałuję tej szczęśliwej pory,
Kiedy stokrotki, kwiatek pospolity,
Zdał mi się w cudne ubranym kolory,
I budził w sercu dziecinne zachwyty,

I kiedy długie majowe wieczory
Spędzałem, patrząc w jasnych ocz błękitny,
Cichego szczęścia pełen i pokory,
Bijący sercem, a nigdy nie syty.

A choć to było kwiecie takie skromne,
Nigdy się z prawdą marzeń nie rachował,
Bom miał rozkoszą serce nieprzytomne.

I kiedym usta różane całował,
Tom nic nie pragnął i nic nie żałował,
I dziś drzę jeszcze, gdy tę chwilę wspomnę...

II.

Później, ach, wiele kwiatów egzotycznych
Widziałem pełnych piękności i woni.
Dużo heroin znalazłem poetycznych,
Niosących uśmiech, łzy i serce w dłoni...
L

A przecież żaden z tych kwiatów rozlicznych,
Wspomnieniem szczęścia mnie teraz nie goni
I z tych postaci wzniosłych, eterycznych,
Od melancholii żadna mnie nie broni!

Bom się nie spotkał już z tym upojeniem,
Co jedno drogę do szczęścia otwiera,
Bez względu czy jest prawdą, czy złudzeniem.

Bez niego serce powoli zamiera
I z ideałów blade maski zdziera,
I żegna zwiędłe stokrotki westchnieniem...

NIEZRĘCZNY

I.

Gdy ją raz pierwszy ujrzał w kobiet gronie,
Uczuł w swej duszy jakby światło nowe:
Zdawało mu się, że widmo tęczone
Młodzieńczych marzeń podaje mu dłonie.

I zapatrzony w oczy szafirowe
Zaledwie zdołał skłonić przed nią głowę
Przy przedstawieniu, i wiedząc, że płonie,
Onieśmielony stał jak żak w salonie.

Ona, spostrzegłszy to jego zmieszanie,
Chciała przyjść w pomoc i pierwsza z uśmiechem
Zadała jakieś zwyczajne pytanie.

By odpowiedzieć, zwrócił się z pośpiechem,
Lecz się w jej sukni zaplątał jedwabnej
I urwał kawał falbany, niezgrabny!

II.

Trudno uwierzyć! Lecz taka przygoda
Zamiast mu szkodzić u pięknej kobiety,
Pomogła raczej — i nastąpiła zgoda
Pomiędzy sercem wdówki i poety.

I widywała się ta para młoda.
On jej przynosił do domu bukiety,
I wzdychał ciągle, na co czasu szkoda,
I co go wreszcie zgubiło, niestety!

Siedział sam przy niej, żrenicą spragnioną
Tonął w jej oczach w niemym zachwyceniu;
Na twarz im padał srebrny blask miesięczny,

Więc ją mógł widzieć drżącą i wzruszoną.
Ale w tym samym został oddaleniu,
Gdyż bał się suknię nadeptać, niezręczny!

DWIE FAZY

I.

Kiedy myśl wielka nagle zajaśnieje
I porwie z sobą mętną ludzi falę,
Burzliwym prądem niosąc ją przez dzieje
Ku szczęściu, prawdzie, zwycięstwu i chwale .

Wtenczas pierś każda ludzka olbrzymieje,
I ponad trwogi powszednie i żale
Každy, jak Tytan, wyrasta zuchwale,
Po nieśmiertelną sięgając nadzieję.

Wtedy z owego tajnego ogniska,
Na świat ożywcze spływają promienie,
Życie, co siłą i młodością tryska,

Zyskuje na swej wartości i cenie,
A i śmierć sama pięknością połyska,
Jak godne męskiej pracy zakończenie.

II.

Lecz gdy zagaśnie blask promiennej zorzy,
Gdy myśl ożywcza sercami nie włada,
Zaraz duch ludzki waha się i trwoży,
I nikczemnieje znowu i upada —

Wówczas strach tylko pędzi ludzkie stada,
W których zepsucie i rozpacz się mnoży . . .
I rzesza ludów, przerażeniem błada,
Błądzi bez celu wśród ciemnych rozdroży.

Wówczas świat, dziwnie zmieniony i stary,
Samą goryczą swoim dzieciom płaci;
Życie bez pragnień, bez natchnień, bez wiary,

Cały swój urok, całą jasność traci.
A śmierć w ohydnej zjawia się postaci,
Jak straszne widmo nicości i kary!

HERAKLES

I.

Greckie go mity Heraklesem zwały,
Chociaż właściwie ludem się nazywa.
Na wieczną pracę nieba go skazały,
Więc jego ramię nigdy nie spoczywa.

Jest pracowity, silny i wytrwały,
Lwia skóra nagie barki mu pokrywa,
Lecz wobec pana swojego nieśmiały,
Łańcuchów swoich sam kuje ogniwa

I spełnia wszystkie najcięższe zlecenia.
Kiedy podniesie maczugę, to straszny!
A jednak stąpa cicho, najzwyczajniej,

Pełen zaparcia i upokorzenia.
Śmieją się z niego, że jest za rubaszny,
Kiedy go widzą w augiaszowej stajni.

II.

Dziewicza Muza nieraz wstydem spleonie,
Widząc, jak grubej oddany swawoli,
Pijaną orgią gasi ogień w łonie,
Pragnąc zapomnieć o tym, co go boli;

Lub gdy rozżarty nadmiarem niedoli
Chwyta w szaleństwie za trujące bronie
I na świat biegnie w niszczyciela roli,
I krwią niewinnych plami swoje dłonie!

Jednak pomimo tych wybuchów szału,
Przez które w niwecz idzie wieków praca,
I wielkich czynów szereg się zacierą,

Z obłądu swego budząc się pomалу,
Kornie na dawne stanowisko wraca,
I spełnia dalej dzieło bohatera.

III.

On bohaterstwo swoje mało ceni,
I nie wie jeszcze, czym jest i czym będzie,
Nie wie, że cało wyszedłszy z płomieni,
Miejsce dla siebie wśród bogów zdobędzie.

Lecz wiedzą o tym bogowie strapieni,
Co w nim mieć chcieli posłuszne narzędzie,
Więc cały Olimp z wściekłości się pieni
I prześladowuje go zawsze i wszędzie.

Jeszcze w kolebce posyłał mu gady,
Aby go zgmiotły w duszącym uścisku,
I wciąż tysiącem olbrzymów nań godzi.

Bezsilne gniewy, zasadzki i zdrady!
Będzie zwycięzcą... i przy gromów błysku
Prometeusza z więzów wyswobodził

MORSKIE OKO

I.

Ponad płaszczami borów, ściśnięte zaporą
Ścian olbrzymich, cę w koło ze sobą się zwarły,
Ciemne wody rozlewa posępne jezioro
Odzwierciadlając w łonie głazów świat zamarły.

Stoczone z szczytów bryły, mchu pokryte korą,
Po brzegach rumowisko swoje rozpostarły;
Na nim pogięte, krzywe, kosodrzewu karły
Gdzieniegdzie nagą pustkę w wianki swe ubiorą.

Granitowe opoki wyniesione w chmury
Rzadko tam żywsze blaski słoneczne dopuszczają...
I tajemnicze głębie kryje cień ponury.

Cisza: tylko w oddali gdzieś potoki pluszczą,
Lub wichry, przelatując nad zmartwiałą puszcza,
Swym świstem grozę dzikiej powiększą natury.

II.

Tu myśl twórcza straszliwą pięknnością wykwita:
Pięknnością niezmierzonej potęgi i siły,
Co gromami na skałach rozdartych wyryta
Świadczy dziś o przewrotach w łonie ziemskiej
[bryły.

Dziki zamęt! Głazami zasłane koryta
Zdają się placem boju, gdzie niegdyś walczyły
Północne groźne bogi i krew ofiar piły
Z czary, która w jezioro upadła rozbita.

Wszystko tu do ostrego tonu się nagina:
Poszarpane gór grzbiety, wody, co czernieją,
Skały, wiszące śniegi, zarośla, mgła sina...

Wszędzie surowa wielkość, przed którą maleją
Sny człowieka, co staje, jak mała dziecina,
Przed skamieniałą dawnych bogów epopeją!

III.

Słońce, gdy na zachodzie złotą tarczę skłoni,
Purpurą zdoła jeszcze skał korony wierzchnie,
Tysiąc tęczowych światel po szczytach się goni,
Tu zsinieje... tam ogniem zaświeci... znów
[zmierzchnie.

A w dole na jeziora zamąconej toni,
Odbity blask zakrwawia drżących wód
[powierzchnię,
Póki skrwawionej fali płaszcz mgły nie osłoni
I ostatni rumieniec wieczoru nie pierzchnie.

Wszystko zgasło... świat cały napemniony
[mrokiem...
Granitowe olbrzymy majaceją w dali,
Rosną w bezmiar i kształty zmieniają przed
[okiem...

Mgła pokryła przepaści szarym swym obłokiem
I jezioro zniknęło... lecz słyszać szum fali,
I z gór lecący potok wymowniej się żali...

IV.

Noc króluje, na głowę kładzie gwiazd diadem,
Przez błękity przesiąka niepewna i drżąca
Jasność jeszcze skrytego dla oczu miesiąca,
Mgły ulatują w górę śnieżnych chmurek stadem.

Wszystko topnieje w świetle niebieskim i bladym
I ciemność nad otchłanią chwieje się wisząca.
Księżyc przez skał szczelinę wstał nad
[wodospadem,
Srebro leje i w przepaść wraz z falami strąca.

Zwolna cała kotlina z śpiących wód topielą
Wynurza się, jak obraz czarodziejskiej księgi...
Wybrzeża przeraźliwym odbłaskiem się bielą,

Jakby pokryte zmarłych śmiertelną pościelą.
Czarne wody w płomienne rysują się pręgi,
Przypominając piekiel dantejskie okręgi.

V.

O wielki poemacie natury! któż może
Iść w ślad za twych piękności natchnieniem
[wieczystym?

Kto uchwyci poranku wzlatującą zorzę
I zapali rumieńce na niebie gwiazdzistym?

Kto wyrzeźbi kamienne wodospadu łożę?
Przemówi szumem fali, wichru dzikim świstem?
Srebrne chmurki zawiesi w szafirów przestworze
I odbije skał ostrza w wód zwierciadle czystym?

O wielki poemacie! ciebie tylko można
Odczuć i wielbić razem w drgnieniu serca
[skrytym,
Gdy pijąc wszystkie blaski, źrenica pobożna

W cichym zachwycie tryśnie źródłem łez
[obfitym,
Gdy na skrzydłach tęsknoty dusza leci trwożna
I nakrywa się własnych marzeń swych błękitem.

ZE SCENY ŚWIATA

I.

Oto ja anioł zniszczeń, miecz ująłem w dłonie,
I rzuciłem na ziemię ostry miecz anioła,
I szepnąłem monarchom siedzącym na tronie:
„Czas pokazać, kto więcej krwi wycisnąć zdoła?

„Czas pokazać, kto więcej na krwawym zagonie
„Położy ofiar ludzkich? kto miasta i sioła
„Poburzy mściwą ręką? i kto swej koronie
„Przysporzy rubin zdjęty z przeciwnika czoła?

„Kto to zrobi, ten cały świat mieć będzie w rękę
„I będzie go mógł deptać dla swojej zabawy,
„A z hekatombry trupów i żyjących jęku

„Wzniesie dla siebie pomnik wiekopomnej sławy;
„Ludy i monarchowie przyjdą przed tron
[krwawy
„I położą swe głowy na liktorskim pęku“.

II.

Rzekłem — i usłyszała mnie szalona pycha
Dwóch władców, co ościenne dzierżyli narody,
Každy z nich powstał, mówiąc: „Ludu! pragnę
[zgody,
„Ale sąsiad na twoje bezpieczeństwo czycha.
„Czyż mogę patrzeć na to, że on bez
[przeszkody
„Wywyższa się w swej dumie i przyjaźń
[odpycha?
„Honor nasz zagrożony i laur nasz usycha,
„Trza go odświeżyć znowu w krwi rycerstwa
[młodej!
„Więc w imię Najwyższego, co nam da
[zwycięstwo,
„Stojąc przy słusznej sprawie, uderzmy na
[wroga!
„Z jego strony jest zdrada, gwałt, krzywo-
[przysięstwo,
„Chęć zaboru, bezprawie, rzezie i pożoga,
„W nas jest szlachetna duma i rycerskie
[męstwo —
„Uderzmy, a zwyciężym za zrządzeniem Bogal“

III.

I powstał krzyk ogromny u monarszych
[dworów,
Krzyk najemnych pochlebców, łaknących
[korzyści,
I rozszedł się po kraju wśród miast, siół i borów,
Wrzawą bezmyślnej dumy, ślepej nienawiści.

Spędzono ludzką trzodę z pastwisk i ugorów,
Zdatnych na rzeź wybrali królewscy artyści,
I stanęły szeregi nowych gladiatorów,
Wołając: „Niechaj słowo monarsze się ziści!“

Przygotowano mordy maszyny żyjące,
Dano znak potajemny i wojsko ruszyło...
Zostały puste domy i zboże stojące,

Płacz matek, którym synów z objąć wzięto siłą,
Sąd wojenny na krnąbrnych, psy nocą wyjące,
I widziałem, że wszystko po mej myśli było.

IV.

Wstała jutrznia czerwona, oświecając łąny,
Na których zebrać miano pierwsze krwawe
[źniwo.

Przekroczono granice... i rozkaz wydany
Pędzi do boju falę żołnierzy ruchliwą.

Oto walka się wszczyna! I wróg rozespany
Napadnięty znienacka za broń chwyta żywo
I bagnietami lukę otwiera straszliwą...
Zgiełk i jęki w tej ciźbie krwią ludzką pijanej.

Ropacz dodaje męstwa, walka jest morderczą,
W śmiertelnym pocałunku pada wróg przy
[wrogu,
Grzmią działa, tętnią jeźdźcy, stosy zwalisk
[sterczą,

Każda chata w płomieniach, trup przy każdym
[progu,
Nareszcie triumf kończy ucztę ludożerczą,
A zwycięski monarcha dzięki składa Bogu.

V.

To był prolog dopiero, a teraz na scenie
Zwycięzca z Bożej łaski posuwa się dalej,
Lud więzi i morduje, wsie i miasta pali
I zrabowanym złotem napycha kieszenie.

Ludzi ma poddostakiem — będą go słuchali,
Będą padać w milczeniu na krwawej arenie,
Może więc zaspokoić pobożne sumienie
I okuć krnąbrny naród obręczą ze stali.

Co za zwycięski pochód! jakie wielkie czyny!
Hymn triumfu w ślad za nim cały orszak śpiewa,
Co krok — to wyrok śmierci, pożar i ruiny,

A wojsko, jak szarańcza wkoło się rozlewa
Po ziemi, która swoje utraciła syny
I pod nogą najeźdźcy w własnej krwi omdlewa.

VI.

Teraz to rzeź za rzezią kroczy już wspaniale,
I stutysięczne armie pośród armat błysku
Zwierają się ze sobą w morderczym uścisku,
Roztrącając się wzajem, jako morskie fale.

Całe gromady giną przy zdobytym dziale,
Całe szwadrony leżą strzaskane w urwisku,
Całe szeregi trupów stoją w pośród ścisku
I wał żywych przebiega po umarłych wale!

Sztuczne śmierci narzędzie i genialne bronie
Zmiatają całe stosy skrwawionego cielska,
Poszarpanej odzieży, szmat, błota i zielska.

Bezkształtne masy leżą zmieszane po zgonie...
W jedną kałużę spływa krew nieprzyjacielska...
Aż śmierć sama ze wstrętem kryje oczy
[w dłonie.

VII.

Piękne dzieło zniszczenia! cudne wynalazki!
Z nich każdy świata nową epokę otwiera,
I tak, jak za dotknięciem Mojżeszowej laski,
Zarazę i ciemności wkoło rozpościera.

Za nic dziś geniusz wodza, męstwo bohatera,
Za nic dziś Winkelridów nieśmiertelne blaski!
Bohater niknie w tłumie, cały tłum umiera,
Nie wiedząc, czy monarcha sypie mu oklaski.

Zwycięzcy, zwyciężeni — w jednym wielkim dole
Zarówno bez zwycięstwa, sławy, bez imienia
Spoczywają, a śmierć im zarówno na czole

Pisze: „To są ofiary marne zaślepienia,
„Co odegrały smutną gladiatorów rolę!“
Kto tutaj jest zwycięzcą? ... Ja — anioł zni-
[szczenia.

VIII.

Triumf mój jest zupełny: sto tysięcy trupów
Armatnim mięsem krwawe kreślą krajobrazy,
Miasta stoją podobne do ognistych słupów,
Albo lecą, w powietrze rozrzucając głazy.

Głód, nędza, rany pełne zaraźliwych strupów,
I stokroć ohydniejsze ludzkich dusz zarazy:
Szpiegostwo, zdrada, rozbój, chciwe swoich
[łupów,
Naczelnemu wódzowi stoją na rozkazy.

Zniszczone całe armie i prowincje całe,
I pobity przeciwnik miecz upuszcza z ręki...
Widowisko zarazem wielkie i wspaniałe!

Gnie się pod stopy wroga układny i miękki,
A zwycięzca pokornie składa niebu dzięki
I pod broń powołuje rzesze pozostałe!

IX.

Na tym koniec? Nie jeszcze! Naród do ostatka
Czuje się przymuszonym bronić przed ohydą
I gwałtami łupieżcy, a ojczyzna matka
Nie może wydać synów, co zań ginąć idą.

Woli pokryć się cała grobów piramidą,
Woli rozpaczy swojej niebo wziąć za świadka
I paść w gruzy, jak krwawa dziejowa zagadka,
Niż obcego ciemństwa zostać kariatydą.

Więc pobożny najeźdźca, jak Jeremiasz nowy
Prorokuje upadek rychły Babilonu,
Widzi się powołanym ten wyrok surowy

Dopełnić mieczem wedle starego zakonu
I wyciąga dłoń krwawą do boskiego tronu
Po namaszczenie dla swej poświęcanej głowy.

X.

Więc znów snują się dalej krwawych zdarzeń
[wzory:
Zasadzki, skrytobójstwa, miasta w pień
[wyrznięte,
Brodzące w krwi, potokach zgnęźniałe upiory,
Przeklinające los swój, a razem przeklęte.

Wszystkie praw i ludzkości zdeptane pozory:
I pustynie zgnilizną na wskroś przesiąknięte,
I świat cały przesytem okropności chory,
I niebiosą milczące przerażeniem zdjęte.

Tylko motłoch, zwycięstwa spojony belkotem,
Niepomny, że sam klęski i zwycięstwa płaci,
Niepomny na krew ojców i synów, i braci.

Niepomny, że jest właśnie ginącym Helotem,
Pokrywa scenę mordów swych oklasków
[grzmotem,
I urągając grobom, ludzką godność traci.

XI.

O, jakże piękne plony! Na smutnym zwalisku
Wyrasta dzika orgia i szal zapomnienia.
Dla ludów wschodzi ciemna jutrzienka ucisku,
Podeptanie swobody, myśli i sumienia.

Jedność, kupiona drogo na pobojuwisku,
W jedno wielkie więzienie dla wolnych się
[zmienia:
Pogwałcona moralność mści się, dając w zysku
Ludzkości nowy okres prób i poniżenia.

Znowu gwałt będzie prawem, a świętością siła,
Znowu w ciemnościach pełzać będzie tłum
[służalczy,
Nie wiedząc, za co ginie, przeciw czemu walczy.

Znowu zgnębiona rzesza będzie się modliła
Do posągu Molocha, w cześci bałwochwalczej...
Stało się tak, jak chciałem: by noc świat
[pokryła.

XII.

Ja jeden triumfuję patrząc na tę ziemię
Dyszącą w bólu, we łzach, we krwi i żalobie;
Ja jeden, krwawy rubin w moim diademie
Umieściłem ku mojej chwale i ozdobie.

Ja jeden, klęsk i nieszczęść sprowadzając
[brzemię
Na ten ród pełen złości, wiedziałem, co robię,
I wytracając mieczem to przekłete plemię,
Oparłem mój tron własny na pokoleń grobie.

Dzieło moje skończone. Lecz Bóg w chmurach
[skryty
Spogląda na dół okiem ojcowskiej litości,
Gotów mi łup odebrać i czyn pracowity

Zniweczyć jednym tchnieniem łaski i miłości...
Rozkazuje. Przekleństwo rzucam Mu w błękity!
I odlatywać muszę w wieczyste ciemności.

W OCZEKIWANIU JUTRA

I.

Są szczęśliwi, co mogą witać jutro świata
Upojeniem rozkoszy, okrzykiem wesela,
Pewni, że przyszłość w dary najświętsze bogata,
Anielskim chlebem życia ludy poobdziela.

Lecz my, których dzień każdy do ziemi
[przygniata,
I głębiej w piersi wbija nóż nieprzyjaciela,
Nie możemy z ufnością patrzeć w przyszłe lata,
Ni sławić nowej ery piosenką minstrela.

My patrzymy z niewiarą na świetne zdobycze,
O których upojone dziś narody marzą,
I nie spieszymy blaski podziwiać zwodnicze,

Co krwawymi łunami nasze oczy rażą;
Lecz ku przeszłości swojej odwróceniu twarzą
Czekamy, co przyniesie jutro tajemnicze...

II.

Dość długo grywaliśmy tu na świata scenie
Rolę Danaid, smutną robotą zajęci,
W bezdenną otchłań lejąc krwi swojej
[strumienie,
Topiąc w niej wszystkie myśli, uczynki i chęci.

Teraz już nam nie wolno po tak strasznej cenie
Kupować chwili złudzeń, co bezsilnych nęci;
Dziś nam nie wolno rwać się na oślep w pło-
[mienię,
By dźwięk imienia ludzkiej przekazać pamięci.

Dziś naszym obowiązkiem trwać w milczeniu
[głuchym,
Z karnością postawionych na czatach żołnierzy,
Nie zdradzając się żadnym okrzykiem lub
[ruchem;
Dziś tylko wolno naprzód posuwać się duchem,
I przysposabiać sobie siły zasób świeży,
Zanim nam Bóg obronę przyszłości powierzy!

III.

Cieężko trwać tak zgębnionym wśród zwycięz-
[ców wrzawy,
Gdy terażniejszość dalej kroczy wciąż wyniosła;
Cieężko nie mieć na ziemi dla ducha podstawy,
I patrzeć, jak nas ludzkość o głowę przerosła.

Cieężko w niepewną przyszłość płynąć, jak cień
[krwawy,
Na wrzającej fali zdarzeń bez steru i wiosła,
Nic nie uрониć z skarbcza świętości i sławy,
I czuwać, by nas rozpacz w odmęt nie uniosła.

Jednak trzeba zagadkę rozwiązać sfinksową,
Zgodzić sprzeczne warunki życia, co z zwaliska
Wschodzi i na dzień jasny przez grób się
[przeciska.

Trzeba z cienia i pleśni dobyć myśli dziejową,
I ze światem żyjących pojednać na nowo,
W imię świtu wolności, co dla wszystkich
[błyska!

PRZYJŚCIE MESJASZA

I.

Lud czekający na swego Mesjasza,
Nie zwróci oczu na dziecinę małą
I do biednego nie zajrzy poddasza;
Mniema, że zbawcę, którego czekało

Tyle pokoleń, ujrzy ziemia nasza
Od razu ziemską okrytego chwałą,
Jak na wojsk czele niewiernych rozprasza;
Mniema, że wszystko będzie przed nim drżało.

Że nawet głowy ugną się książęce,
Zdając mu władzę nad światem... Więc jeśli
Usłyszysz, że się narodził w stajence

I że mędrcomie dary mu przynieśli,
Pyta ze śmiechem: „Jakto? ten syn cieśli
Ma rządy świata ująć w swoje ręce?”

II.

Nawet ci wszyscy najwierniejsi uczniu,
Którzy do końca w swym Mistrzu widzieli
Zbawienie świata i światłości jutrznię,
Gdy na śmiertelnej ujrzą go pościeli

Z przebitym bokiem przez żołdaków włócznię,
Gdy archanielskich nie widząc mścicieli,
Widzą, jak zgraja wrogów się weseli
I jak swój triumf święci teraz hucznie — —

To i ci z twarzą przerażeniem zbladłą
Zwłoki w grobowe tuląc prześcieradło,
Zwątpią o prawdzie słów boskiego męża,

Trwożąc się w duchu, że wszystko przepadło . . .
A on tymczasem bez wojsk i oręża,
Po swoim zgonie idzie i zwycięża.

III.

Choć krzyżowany przez odstępców roty,
W sercu ludzkości umiera na nowo,
I z szczytu swojej niebieskiej Golgoty
Na chwilę w otchłań zapada grobową,

A świat, straciwszy promień prawdy złoty,
Drogę zbawienia i żywota słowo,
Krzyk rozpaczliwy podnosi sieroty,
Patrząc na mękę pokoleń dziejową.

On spełnia dalej odkupienia dzieło . . .
I to, co w krwawej bezprawia powodzi
Pod znakiem jego walcząc, zatoneło,

Wraz z nimi w postaci doskonalszej wschodzi...
I zanim grobu łono się zamkneło,
W sercu ludzkości Bóg się znowu rodzi.

IV.

Kroczący skrycie w dziejowym zamęcie
Bóg spodziewaną nie nadchodzi drogą,
Blaski na niebios widne firnamencie,
Luną pożarów okazać się mogą.

I te nadzieje, których się zawzięcie
Czepiamy sercem, mszczą się na nas srogo;
Tymczasem zbawczej idei poczęcie
Niedostrzeżonym bywa przez nikogo.

Chociaż na ziemię zstępuje jak bóstwo,
Szydzą z niej sobie małoduszne zgraje,
Widząc pozorną słabość i ubóstwo.

I musi przenieść prześladowań mnóstwo,
I śmierć na krzyżu... Lecz gdy zmartwych-
[wstaje —
Podbija ludy i zdobywa kraje!...

VI

Z obcych stron



POINTE DE RAZ

Poszarpany, na sztuki pocięty,
Groźny cypel wzniosł się nad odmęty,
Wielkim pasem przyczepion do ziemi;
Wystrzeliwszy wysoko ku górze,
Niby twierdzy obronne przedmurze
Na dół spada głazami ściętymi.

Jakby w otwór olbrzymiego kotła,
Toń burzliwa w jego łono wgniotła
Wody w ciągłym szalejące wirze . . .
I w tym kotle z gwałtownością wściekłą
Całe wodnę wre i ryczy piekło,
Fal językiem skał wierzchołki liże.

Wydrążone granitów filary
Wśród pian srebrnych i dymiącej pary,
Jak organy wyrastają z głębi
I smutnymi jękami się żalą,
Gdy w ich wnętrze z każdą nową falą
Woda w górę wznosi się i kłębi.

Dalej w morzu . . . od lądu oddarty,
Nakształt brzegu wysuniętej warty,
Szmat wysepki, raczej odłam skały,
Sterczy nagi. Między nim a lądem
Morze wpada rozhukanym prądem,
Niosąc łodzie chyżym pędem strzały.

Na tym brzegu rozsiadł się ponury
Kształt pierwotnej, celtyckiej natury
Średniowieczny, spóźniony romantyk . . .
Wzniósłszy w górę dumną skroń olbrzyma,
Kamiennymi wyziera oczyma
W mgły północy, w burzliwy Atlantyk.

Głuchy, niemy, nieruchomy świadek
Scen minionych, dziejowych zagadek,
Ta olbrzymia głazów piramida.
I widziała, jak świętą jemiolą
Uwieńczywszy blade trupa czoło,
W łódź kładziono zmarłego Druida.

A te łodzie bez steru i wiosła
Fala sama z umarłymi niosła
W wiecznych mroków posępną krainę,
Na brzeg wyspy, która w oddaleniu
Niby smuga majaczeje cieniu,
Tajemniczo w mgły spowita sine.

I dziś jeszcze, po słońca zachodzie,
Zda się, płyną z umarłymi łodzie
Rwane siłą tajemnego prądu . . .
I znikają gdzieś w mrokach przestrzeni,

Jak gromadka falujących cieni,
Do cichego przybijając lądu.

* * *

W podartych chmur zgęszczonej ćmie
Tonie widnokrąg ciemnych fal,
Zacina deszcz i wichler dmie,
Zniknęła morza dal.

Z wściekłością bije wzdęta toń
O głązów próg, o ścianę skał,
I na granitów ostrą skroń
Spieniony rzuca wał.

O poszarpany tłukąc brzeg,
Przeciągły z sobą toczy grzmot,
I wlewa swój kipiący ściek
W czeluści czarnych grot.

Nakształt ruchomych płynnych gór
Spiętrzone pędzą fale wód,
A piana pryska aż do chmur!
Wiruje głębi spód.

I w wydrażonych słupów rząd,
Co pod naporem fali drga,
Podwodny z rykiem wpada prąd
I dziką pieśń swą gra...

Słysząc huk bębnow, brzmienia trąb,
Organów hymny i dźwięk lir;
To wre i huczy morska głąb,
Kipiący syczy wir.

Ten szum siekających deszczu różg,
Ten jęk piskliwych mew,
Ten wichru świst, ten fali plusk —
To Oceanid śpiew.

II.

TAORMINA

Na urwisku prostopadłym,
Na uciętych skał marmurze,
Ponad modrych mórzw zwierciadłem
Taormina błyszczy w górze.

Jak jaskółczych gniazd gromada,
Przyczepiona do urwiska,
Tarasami w przepaść spada,
Białe domki w błękit ciska.

Odwrócona ku wschodowi
W głąb Jońskiego patrząc morza,
Pierwsze świtu blaski łowi,
Które grecka śle jej zorza.

Na błękitów malowidle
O minionych czasach marzy:
Wysunięty na jej skrzydle
Grecki teatr siadł na straży.

Zasiadł z ciszą i powagą
Wabiąc widzów tak wymownie...
Bo otworzył pierś swą naga,
Malowniczych scen widownię.

W koło uśmiech słońca złoty
I błękitu nieskończoność,
Zawieszonych pnączów sploty,
Z laurowych drzew zieloność.

Różowieją po gór stokach
Strojne w świeży kwiat mandorle;
Wyżej zamek tkwi w obłokach;
Saracenów gniazdo orle.

Wyżej ponad horyzontem,
Płaszcz ze srebra wznosząc świetny,
W niebo wbił się ostrokrątem
Wyniesiony stożek Etny.

Jak rycerskie nad nim pióro
Na błękitach coraz bledsze,
Dym podłużną wzniosł się chmurą
I rozplywa się w powietrze.

Legendowe tchnienia wieją
I słoneczne błyszczą mity...
Dni współczesnych z Odyseją
Pada jeszcze blask odbity.

Starożytny duch Hellady
Swe pajęczce sieci przędzie,

Choć zamglony, nikły, blady,
Piętno swoje wyrył wszędzie.

Zlał się z całą tą przyrodą,
I jak światło gdzieś z grobowca
Pod powierzchnią życia młodą
Śle promienie dla wędrowca.

Niegdyś znowu ku tej skale
Fala morska z sobą niosła
Dziki, groźne plemion fale,
Rycerskiego tłum rzemiosła.

Przybywały po łup krwawy
Saraceny i Normandy ,
Rozwijając tęczę sławy
I rycerskich dzieł girlandy.

I niejeden z tych rycerzy
Oстрым mieczem swym wykrawał,
By tron sobie zdobyć świeży,
Pochwyconej ziemi kawał.

Dziś ta przeszłość barwna tyle
Chociaż cicho w laurach drzemie
Miga jednak w złotym pyle,
Co klasyczną kryje ziemię.

III.

NOC NA MORZU

W drodze z Malty do Goletty

Srebrzyste blaski toń przesiewa modra,
W miliony drżących rozprasza iskierek,
I snopy światła na okrętu biodra
Kolejno rzuca fal ruchliwy szereg...
Noc księżycowa tak jasnością szczodra
Perłową siatką wód błękity muszce.
Cisza... Zaledwie łagodny wiaterek
Podnosi falę, która miękko pluszcze.
Jak cienie mkniemy przez te płynne puszcze.

Pogodnej nocy majestat królewski
Zawisł nad całą spokojną głębiną
Wzrok ściga drżące światel arabeski
I płynie z nimi w nieskończoność siną...
W ślad za nim myśli w ten obszar niebieski
Lecą bez końca, roztopione w ciszę
I poza światem gdzieś omdlałe giną.
A księżyc dalej srebrne znaki pisze
Na fali, która jak do snu kołysze.

Mijają chwile, może całe wieki,
W tym rozmarzeniu, co godzin nie liczy;
Świat dotykalny cofa się daleki,
A sen srebrzysty, nieznaney słodczy,
Przez pół otwarte wciska się powieki,
I płynie w duszę z cichym szumem fali,
Coraz to więcej dziwny... tajemniczy...
Aż go chłód rosy, co się w mgłach kryszkali,
I świeższy powiew poranku oddali.

Na wschodzie niebo zdaje się różowieć
I od ciemniejszej odcina się toni:
To pierwsza bliskiej jutrzeńki zapowiedź.
Świt mleczny z blaskiem miesięcznym się goni,
Zmącone fale zaczynają płowieć.
Gwiazdy poblady; senne oczy mrużą;
Tylko poranna, jak brylant na skroni
Młodziutkiej jutrzeńki, nad obłoczków różą
Staje się mocniej błyszczącą i dużą.

Przed nami w morze czarny klin się wciska,
Brzeg wyniesiony skalisty i dziki.
Piętrzą się groźnie bazaltów urwiska...
To wysunięty przylądek Afryki!
Na jego szczycie jeszcze światło błyska
Rozsiane w morzu oświecając skały;
Ze skał dochodzą morskich ptaków krzyki,
Które noc w głazów szczelinach przespały,
A teraz wrzaskiem witają dzień biały.

IV.

PUSTYNIA

Dokoła, wszędzie obszar jednostajny, płaski
Roztacza przeraźliwie bielejące piaski,
Z których szarymi centki, jak kropka przy
[kropce,
Wznoszą się wirem wichru usypane kopce
Prawie w równych odstępach, a ich chwiejne
[czoła
Wieńczą szorstkie, kolczaste popielate siola,
I na owe palącej białości przestrzenie
Rzucają swoje nikłe, szarzące cienie.
Zresztą na widnokregu nic się nie wyróżnia:
Wszędzie ta sama pustka i dusząca próżnia,
Która pod roztopionych lazurów kopułą
Stoi wieczyście głuchą, niemą i nieczułą.
Nic nie przerywa nagich płaszczyzn krajobrazu:
Ani odległe drzewo, ani odłam głazu,
Ani nawet obłoczek lecący w oddali...
Wszędzie blask, co oślepia, i żar, który pali.
Płonący glob i błękit błyszczący bez bminy,
Tuż ponad ziemią, w pierścień ujęty miedziany...

Nie nie drga, tylko drgają odbite przez piaski
W falującym powietrzu rozproszone blaski.
Żaden głos, szmer żaden nie dochodzi ucha,
Co próżno wyteżone z niepokojem słucha,
Czy nie posłyszysz dźwięków płynących w błę-
[kicie ...

A słyszy tylko serca przyspieszone bicie.
Zresztą głuche milczenie zaświatowej głębi,
Które zwolna wędrowca swym bezmiarem gnębi,
A śladem jego kroków w tej bezdrożnej ciszy
Groza osamotnienia i strach towarzyszy.
Dziwny strach, w którym człowiek, czując swo-
[ją nędzę,

Na pastwę bezlitosnej rzuconą potędze,
Widzi siebie zdeptanym pod nogą olbrzyma,
Co wkoło rozpostarty całun piasków trzyma,
Aby go, rażonego strzał słonecznych grotem,
Zagrzebać w nim i zatrzeć wszystkie ślady
[potem
W tej olbrzymiej samotni, której całe dzieje,
Kręcąc kłębami piasku. kreśli wiatr, co wieje...

V.

ZAMARŁA OAZA

Tu niegdyś było źródło tajne,
Wśród piasków znacząc srebrny ślad
I niosło rosy życiodajne
W pustyni głuchy, martwy świat.

A z spalonego ziemi łona
Wytrysło życie z biegiem wód,
Wzniosła się w niebo palm korona,
Dając wędrowcom cień i chłód.

I jak łudzące puszczy obrazy,
Na suchych piasków nagim tle,
Powstał rozkoszny gaj oazy,
W złocistych blasków lśniącej mgle.

Wrzało tu życie i wesele,
Karawan tutaj ciągnął szlak,
Do wody płóche szły gazele,
Na drzewach gniazdo uwił ptak.

I ten zakątek puszczy obszaru
Weselny życia przybrał strój,
Pełno w nim barwy, ruchu, gwaru...
Lecz wysechł źródł!...

Dziś kilka pni zeschniętych sterczy,
Inne zwalone kryje żwir;
Nad nimi słońca żar morderczy
I latających piasków wir.

Już wielbłąd tutaj nie przykłęka,
Gazela nie przychodzi pić,
Zniknęła owa zieleń miękka,
Co okalała srebrną nić.

Wachlarze palm się nie kołyszą,
Umilkł owadów, ptasząt gwar,
Wszystko jest grozą, smutkiem, ciszą,
Wszędzie słoneczny pali żar.

Pustynia gwałtem znów się wdarła,
Biorąc oazę w uścisk swój
I wszelka życia gra zamarła,
Gdyż wysechł źródł!...

VI.

NA POLACH KARTAGI

Przede mną pola milczące Kartagi
Wciśnięte między dwie zatoki morskie:
Grunt pogarbiony, zdziczały i nagi,
Po którym przeszły pęki różg liktorskie.

Ruń wschodzącego jęczmienia zielona
Pokrywa gmachy, które w gruzy legły;
Gdzieniegdzie z ziemi otwartego łona
Piętrzą się warstwy kamieni i cegły.

Odkryte doły, zaklęśnięte jamy
Bezkształtne wnętrza ukazują zwalisk;
Po polach leżą strzaskane odłamy
I bezimienne szczątki wykopalisk.

Gdzieniegdzie mignie znienacka w pobliżu
Twarz ludzka pośród odsłoniętych ruin,
W framudze cegieł, jak posąg ze spiżu,
Stoi poważny Arab, lub Beduin.

Posępna plemion zginionych kotlina,
Ściegiem zielonych haftowana grządek,
Oстрыm trójkątem ku morzu się wspina
I w górujący wystrzela przylądek.

Na jego stoku coś bieleje niby,
Wężem zieleni przepasane w kółko:
To białe, niskie Arabów siedziby
I groty świętych z okrągłą kopułką.

Szerokie, płaskie kaktusów łodygi
W koło lepianek tworzą płot kolczasty,
Wśród nich aloes, lub krzywy pień figi
Wznosi ramiona nad piasek i chwasty.

Przed lepiankami zasiedli na ziemi
Piękni liniami i wyrazem chłopcy
O śniadych twarzach: oczyma czarnymi
Patrzą zdziwieni, gdy nadchodzi obcy.

* * *

Słońce ku morzu zeszło gorejące,
A przez kaktusów dzikie żywopłoty
Wybiegło naraz promieni tysiące...
Przedarł się pożar czerwony i złoty...

Poza skał szczytem wybuchając w dole,
Odbity w górze przez chmur ciemne wstęgi,
Ogniem swym objął kartagińskie pole,
Coraz to szersze zataczając kręgi.

A mnie się zdało, iż przede mną płonie
Olbrzymie miasto, gdzie wre bój zajadły ..
I widzę mieczem ubrojone dłonie
I stosy trupów, które w walce padły.

Goreją gmachy, świątynie, portyki,
A orły rzymskie ulatują górą,
Wzniosły się dumnie ponad zamęt dziki,
Oblane luny ognistą purpurą.

Tłum zrozpaczonych niewiast prosto leci,
Gdzie w żarach krwawe topnieją bożyszczą,
Rzucają w płomień skarby swe i dzieci
I same skaczą w walące się zgliszczą.

Mężę polegli, nie ma już narodu,
Jeźdźcy tratują niekczemnego zbiega,
A nad gruzami zburzonego grodu
Rzymskie *Vae victis!* głośno się rozlega.

Po drugiej stronie, u pagórka stoku,
Na swym rumaku siedzi Scypio blady;
Duma zwycięzcy błyszczący w jego oku
I patrzy chciwie na dzieło zagłady ...

Nagle twarz jego groźna, nieużyta,
Troski, czy smutku wyraz na się wzięła —
Aż go zdziwiony towarzysz zapyta:
„Wodzu, czy żal się spełnionego dzieła?“

A Scypio rzecze: „Serce Rzymianina
„Na szalę wrogów litości nie kładzie.
„Gdyby powstała z gruzów Kartagina —
„Sam bym na nowo wydał ją zagładzie.

„Lecz pomyślałem, iż dzień nadejść gotów,
„W którym dla Rzymu zajdzie chwały słońce,
„Kiedy mu zbraknie rycerskich przymiotów
„I gdy ostatni wymrą mu obrońce.

„Może tak samo w krwi, ogniu i dymie
„Mściwej Nemezis karcące narzędzie,
„Dzicz barbarzyńska, hańbiąc jego imię,
„W gruz go obróci, gdy już nas nie będzie“.

* * *

Wtem słońce zaszło i wszystko zagasło:
Widmo przeszłości w noc grobów zapada...
Tylko, jak dawniej bezlitosne hasło,
Brzmi w górze okrzyk: „Zwyciężonym biada!“

VII.

HASZUMAT

Haszumat tylko małą był,
Lecz Ramy wiernym sługą...
I z bohaterstwem wedle sił
Demonów zwalczał długo.

A gdy triumfu nadszedł czas —
U niebios jasnych progów
Haszumat z Ramą został wraz
Obdarzon łaską bogów.

I gdy stał trwożny, patrząc w blask
Przy boku bohatera,
Spytali: „Jakich żąda łask,
I jaki dar wybiera?“

On westchnął: „Jedną żądzę mam,
„Lecz nikt jej nie wysłucha.
„Bo chcę do niebios dążyć bram
„Ludzkiego posiąść ducha“.

Więc rzekł mu Indra, jasny bóg:

„Przez miłość swą ku Ramie,
„Walcząc w szeregu moich sług,
„Zdobyłeś ludzkie znamię.

„Ponad bezdusznych stworzeń rój
„Ponad powłokę błota,
„Wyniósł cię własny poryw twój
„Wyższego chęć żywota.

„Wytrwale tylko w górę dąż
„Z całym potomstwem twoim,
„A będziesz bóstwu bliższym wciąż
„Szlachetnych czynów znojem.

„Lecz się powracać myślą strzeż
„Do niższej sfery bytu,
„Ocknie się bowiem w tobie zwierz . . .
„I spadniesz z marzeń szczytu!“

VIII.

TRIMURTI

P. Karolowi Potkańskiem.

Przed pagodą trójgłowe bezkształtne bożyszczę...

Pod nim zaś napis: „Stwarzam, utrzymuję,

[niszczę“.

Troje głów i sześć ramion splełanych przede

[mną

Przykuwa myśl potęgą zagadkową, ciemną...

Zarazem mnie odpycha i nęci i drażni

Ów fantastyczny utwór dzikiej wyobraźni.

Gdy tak stoję i wlepiam nieruchome oczy

W bóstwo, co wciąż mi rośnie i ogromem

[tłoczy —

Jakby duch, siwy bramin zjawia się nieznacznie

I zagadkową postać tak objaśniać zacznie:

„Ta głowa, co w pośrodku, to przedwieczny

[Brahma,

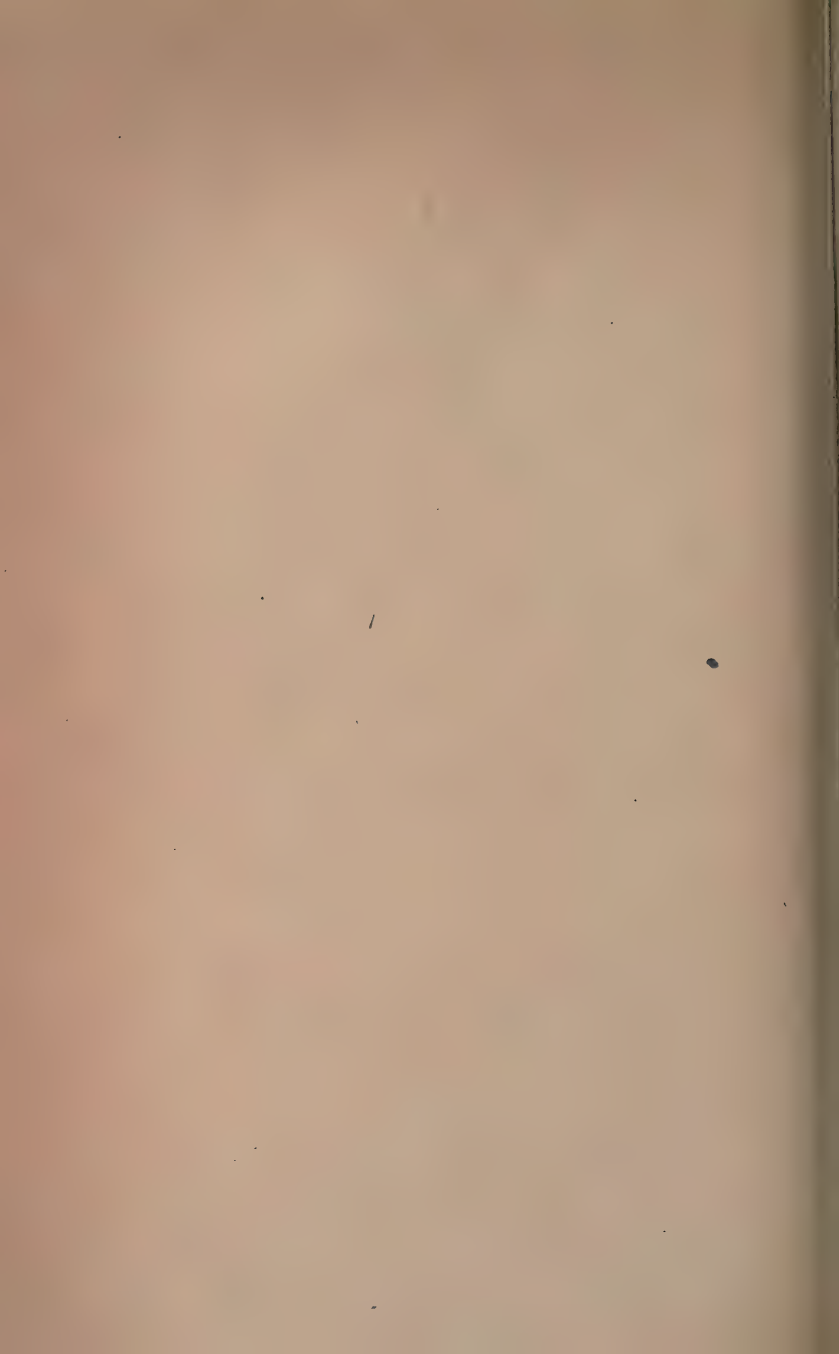
„Najwyższa osobowość, moc duchowa sama,

„Bóg słońca poza światem, który z swego łona,

„Świadomy celu, wywiódł wszech bytów

[nasiona.

„Ta twarz druga, to Wisznu: wyobraża władzę
„Utrzymującą cały wszechświat w równowadze,
„Bóg rozlany w naturze i będący zatem
„Jednocześnie i Bogiem i samym wszechświa-
[tem.
„A twarz trzecia, to Sziwa, potęga złowroga
„Ślepych zniszczeń: to wszechświat pojęty bez
[Boga,
„Co bezcelowo próchnem istnienia wciąż świeci
„I nieczuły na mękę, pożera swe dzieci.
„Te wszystkie trzy pojęcia w nieustannej bójce
„Stanowią razem jedną nierozłączną trójkę,
„Uzmysłowiony symbol, ciosany niezdarnie,
„Tej mocy, której ludzki umysł nie ogarnie“.



VII

Myśli ulotne



I.

Bellerofon, gdy Meduzy głowę
Odciał jednym zamachem żelaza,
Ujrzał z krwi jej powstające nowe
Dwa zjawiska: lotnego Pegaza
I Chimere, która w pierwszym skoku
Ani chwili nie dotknęła ziemi,
Lecz w różowym zniknęła obłoku,
Ziejąc w koło ogniami złotymi.
Odtąd służy ten rumak skrzydlaty
Do wycieczek w ponadziemskie światy,
A Chimere w nieskończonej toni
Serce ludzkie zawsze jeszcze goni.

II.

Jeżeli życia twojego ścieżka
Zawiedzie ciebie w gaje kwieciste,
Jeżeli szczęście z tobą zamieszka,
Niosąc ci wszystkie rozkosze czyste;

Jeśli nie doznasz nigdy zawodów
W tym, co najdroższym dla siebie zwiesz,
Korzystaj z życia weselnych godów,
Patrz w jasne niebo, kochaj i wierz.

Lecz pomnij, że ta szczęśliwość cała
Snem będzie tylko, co zmysły pieści,
Jeśli nie będzie z ciebie spływała
Na cudze smutki, lzy i boleści.

III.

Ten jest prawdziwie samotnym na ziemi,
Kto nawet współczuć nie umie z drugimi.

IV.

Kto się waha z obawy, że myśl, co w nim
[drzemie,
Straci na swej piękności, zstąpiwszy na ziemię,
Przejść przez wszystkich walk ludzkich i zawo-
[dów stopnie —
Ten zwiędnie w pożądaniach, niczego nie dopnie.

V.

Nie rozumiemy z ludzi nikogo
I właśnie dla tej przyczyny,
Swych bliźnich zawsze sędzimy wrogo
Myśli, uczucia i czyny.

I siebie samych pojąć nam trudno,
Więc znowu z tej samej racji
Nad swoją rolą, choćby obłudną,
Jesteśmy wciąż w admiracji.

VI.

Skoro kto rzuci myśl nową,
Opinia kręci swą głową,
Zaraz podnoszą się krzyki: . .
„Jakiż paradoks to dziki,
Dla ludzi i dla społeczeństw
Kryjący zbiór niebezpieczeństw!“
Lecz z czasem, gdy coraz dalej
Z tą myślą się spoufali,
Woła opinii trybunał:
„Ależ to prosty komunał!“

VII.

Wszystko przemija! Nawet ból i smutki.
I kiedy człowiek, swego kresu blisko,
Spokojniej patrzy z swojej wątlej łódki
Na wściekłość burzy i fali igrzysko —
Inaczej sądzi sen żywota krótki
I walk namiętnych niknące zjawisko...
Serca nie szarpie rozpaczy mu źmija,
Bo już do brzegu cichego dobija.

VIII.

Czasami kult równości jest ukrytą chętką,
By się wynieść nad innych skutecznie a prędko,
I hasła wyrównania służą za piedestał
Temu, co w duszy równym tłumowi być przestał.

IX.

Wierzaj w serc ludzkich piękność idealną,
I tą pięknością karm się i napawaj
I rosę uczuć zbieraj niewidzialną;
Lecz swego szczęścia na próbę nie dawaj.
I nie doświadczaj tych uczuć trwałości,
Które ci sączą słodki sen miłości.

X

Zranionym sercom potrzeba
Błękitów nieba,
Skrzydlatej modlitwy gońca,
Pogodnych uśmiechów słońca
Ciszy bez końca...

Lub burzy, która przygłuszy
Żrący ból duszy,
I czarnej, wyjącej nocy,
Co będzie osłonić w mocy
Ich płacz sierocy.

XI.

Ruszając w drogę w życia poranek
Widzimy w dali,
W mgle, co się pali,
Zwodnicze szczęścia obrazy,
Kwiatów oazy,
Cudne postacie niebianek.

Gdy dochodzimy do kresu drogi,
Cień spotykamy tylko złowrogi,
Za to za nami
Lśni się tęczami
Początek przebytej drogi.

XII.

Kto nie umie z piersi własnej
Wysnuć uczuć tęczy jasnej
I miłością świat obdzielić;

Kto nie umie raję stworzyć
I w nim szczęściem drugich ożyć
I w ich losy swoje wcielić — —

Ten, choć duszy swej nie splami,
Nie wyprosi niebios łzami
Jałowymi.

Odkąd z raję nas wygnano,
Trzeba kochać i kochaną
Być na ziemi.

XIII.

Nie baw się w bohatera,
Nadludzką nie błyszcz cnotą:
Kto w górę wciąż spoziera,
Ten łatwo wejdzie w błoto.

XIV.

Ten ma największe hojności porywy,
Komu fortuna odmówiła mienia.
A ten najbardziej bywa gadatliwy,
Co nie ma właśnie nic do powiedzenia.

XV.

Antysemityzm dziś już prowadzą handlarze,
Z których każdy dla siebie pewien zysk w nim
[widzi.

Skoro się interesem korzystnym pokaże —
Niezawodnie go ujmą w swoje ręce Żydzi.

XVI.

Dla serc szlachetnych najwyższą rozkoszą,
Gdy drugim radość w niedoli przynoszą.

XVII.

Na własne mroki najlepszą pociechę,
Zapalać światło pod ubogą strzechą.

XVIII.

Najczystsza dumą: gdy sami w potrzebie
Nic nie żądamy od świata dla siebie.

VIII
R ó ž n e



HELENIE MODRZEJEWSKIEJ

Ponad tym wszystkim, co początek bierze
W ciężkiej i dusznej życia atmosferze,
Ponad tym wszystkim, co się ćmi i wicherzy
W prochu tej ziemi, jak owad najlichszy,
Ponad tym wszystkim, co z niesforną wrzawą
Goni za chlebem, miłością lub sławą,
I świecąc chwilę, znowu w mroku ginie
W łez, krwi i błota dziwnej mieszaninie:
Ponad tym wszystkim jest jaśniejsza sfera,
Będąca ziemskiej tęczowym odbiciem,
Ta zmienne kształty w wieczny blask ubiera,
I jak posągi stawia ponad życiem,
I każdą miłość, co się w proch rozwiała,
Uwiecznia w krasie dziewiczego ciała
I każdą sławę podejmuje z zgliszcza,
I ze rdzy ziemskiej ogniem ją oczyszcza.

Ta sfera jasna, sfera ideału,
W którą świat żywych wsiąka wciąż pomalu,
I gdzie przenosi swoje łyzy i nędzę
Na rajskich marzeń nieśmiertelną przędzę,
Ta sfera sztuki, jak ją tłum nazywa,

Wieczyście piękna, wieczyście prawdziwa,
Ma swoje sługi, którym jest zleczone
Ukrytych cudów odchyłać zasłonę,
Ma swoje sługi wierne niewolniczo,
Co wdzięcznym marom, zrodzonym w błękiecie,
Własnego ducha na chwilę użyczą,
I mglistym kształtom własne dadzą życie,
I całą swoją roztrwonią istotę
Na ich nadziemską walkę i tęsknotę,
I trwają, błyszczą i lecą... dopóki
Nie strawi ducha boski płomień sztuki!

Biedne ofiary! Im nie wolno w locie
Opuścić skrzydeł w jakiej cichej grocie,
Ani ugasić ognia, co je pali,
Jako jaskółkom gdzie na modrej fali;
Im w ideału jarzmie, bez wytchnienia,
Wszystkie łzy, skargi, krzywdy i cierpienia ,
Potrzeba zbierać, każdą ludzką ranę
Przejmując na swe serce skołatane;
Trzeba im chodzić w królewskiej purpurze,
W koronie z szychu i nie giąć się pod nią,
Odczuć w swych piersiach wszystkie ziemskie

[burze

I dyszeć dumą, nienawiścią, zbrodnią,
Umarłych plemion żywym być wyrazem,
Kochać, żyć, ginąć z nimi razem...
I wszystkie piękne widma co się roją,
Aby ożyły, krwią napoić swoją.
Biedne ofiary! Tłum, co patrzy na nie,
Widzi ułudę tylko i udanie,
I gdy się ogniem tęczowym zachwyca,

Nie pyta, czym go niewolnik podsycą;
Nie pyta, czemu mieści posąg Nioby
Tyle kamiennej grozy i żaloby?
Czemu pieśń, co się w powietrzu roztrąca,
Jest tyle śpiewna, splakana i drżąca?
Czemu ta postać jasna, czysta, biała,
Spoczywająca dotąd w zapomnieniu,
Nagle przed okiem widza zmartwychwstała
I w czarodziejskim zakwita promieniu?
Skąd płynie fala tych uczuć obfita,
Co go rwie z sobą? o to tłum nie pyta...
Pewny, że wzruszeń tajemniczych tęcza
Bengalskim ogniom początek zawdzięcza.

Nikt nie przeczuwa owej wielkiej rany,
Skąd krwi upływa strumień nieprzebrany,
Ani tej walki, co trwa życiem całym
Z nieuchwyconym nigdy ideałem,
Ani też nie ma współczujących świadków
Dla tych porażek, zwątpień i upadków,
Gdy niewidzialne wyższej mocy ramię
Słonecznym gońcem skrzydła i lot łamie.
O! tych wewnętrznych konań ponad światem
Nie dojrzą nawet oczy najciekawsze:
Źródło „co było w twórcze łyzy bogatym,
Zostanie ciemną zagadką na zawsze,
I gdy duch w prochu szermierza powall,
Na śmierć zadcpcze i uleci dalej...
Tłum się nie troszczy o los zapaśnika,
Ale do domu powraca... i syka.

Strwonione życie! komedia skończona!
Nad zwyciężonym zapadła zasłona
I głucha cisza zaległa bezwzględnie
Wprzód, zanim w ziemi naprawdę odpocznie:
Serdecznych natchnień błyski drogocenne,
Te uleciały ponad prądy zmienne,
Unosząc z sobą w kraj przyszłości mglisty
Serce człowieka i duszę artysty.
Więc pozostaje tylko marą błędną,
Rozdawszy z siebie wszystko, co najlepsze:
Zebrane laury do wieczora zwiędną,
I nikt go piersią swoją nie podeprze.
Dopiero wtedy, gdy z nędzy człowieczej
Chłodna go ziemia na zawsze wyleczy,
Nad grobem miga błędny ognik sławy,
Przed którym staje przechodzień ciekawy.

A jednak mimo, że ten ból, ta praca,
W której się własną istotę zatracą,
Zdaje się niknąć, atom po atomie,
W wiecznej piękności blasku i ogromie,
Jak rosa w słońcu... jednak przecież warto
Chociaż na chwilę dać swą pierś rozdartą
Tym, którzy łakną i tęsknią za niebem
I głodnych karmić ideału chlebem.
Warto chociażby raz, na chwilę jedną,
Położyć palec na dusz ludzkich ranie,
I w lepsze światy zawieść rzeszę biedną,
Prawdy i piękna dać jej pożądanie.
Bo chociaż dzieło i twórca przeminie,
Rzucone ziarno zejdzie kiedyś w czynie,
I w przyszłych czynów rycerskiej postaci
Zapomnianemu sprawcy się wyplaci.

FRESKI STAROŻYTNE

THETYS I ACHILLES

Równo z jutrznią pośpieszną, co na niebie już
[wschodzi,

Thetys smutna i blada, na perłowych konch
[łodzi

Z głębi morza wypływa. Przed nią fali błękity
Rozsuwają się cicho i szlak złotem nabity

Znaczy drogę, po której jej perłowa łódź przejeżdża.
[dzie.

Każda fala się kłania modrookiej Nerejdzie,

I całuje jej stopy bielsze jeszcze od piany,

Którą lekko okrasia pierwszy promień różany.

Brzmienia słodkie, łagodne, jak amfiońskiej
[głos liry,

Towarzyszą jej w drodze przez te płynne szary
[firy,

A na muszli najcichszy syn Eola z uśmiechem
Biały żagiel wydyma swoim wonnym odde-

[chem.

W koło rzesza delfinów, ssąc powietrze w swe
 [płuca,
 Wodotryski srebrzyste ponad fale wyrzuca.
 Złotowłosych cór morza, śpiewnych Nerejd
 [gromada,
 Igra z falą, lub z wdziękiem na delfinów grzbiet
 [wsiada,
 Zakwitając różowo w złotym deszczu promieni,
 Co ich ciała przejrzyste tchem rozkoszy ru-
 [mieni.
 Towarzyszą Thetydzie oceanu dziewice:
 Jedna sterem kieruje, druga trzyma kotwicę,
 Owa piersią swą śnieżną w biegu wstrzymać
 [chce fale,
 Inna z morza dobywa promieniste korale,
 U tej w ustach pobudką śpiewającą brzmi
 [koncha,
 A ta znowu schylona dziwny morski kwiat
 [wącha,
 Inna drażni delfiny, inna łowi od rana
 Siecią rybki skrzydlate... Thetys smutna,
 [stroskana,
 Na to wszystko nie zważa: towarzyszek nie
 [pieści,
 Pełna gorzkich rozmyślań i głębokiej boleści.
 Myśli tylko o synu, o Achillu, na którym
 Przeznaczenie zawisło swym wyrokiem ponu-
 [rym.
 Spieszmy właśnie do niego szafirowych fal drogą,

By los groźny odwrócić macierzyńską prze-
[stroga.

I tak płynie przez błękit zamyślona, milcząca,
A perłowa łódź chyżo ciche fale roztrąca.

* * *

Nad wezglowiem Achilla Thetys siadła. stra-
[piona

I objęła pierś jego w swoje śnieżne ramiona.
Z dumą matki, choć razem z myślą dziwnie
[żałobną,

Postać męża podziwia, bogom tylko podobną,
I widokiem się poi bohaterskiej postaci,
Której nic nie wyrówna, której nic nie oplaci.
Pocałunkiem to jasne, czyste czoło pokrywa,
Razem dumna i trwożna, zrozpaczona, szczęś-
[liwa!

„O, Achillu! — zawoła — nie gardź bogów
[przestroga.

„Jeśli prośby twej matki nic nad tobą nie mo-
[gą

„Słuchaj niebios ostrzeżeń i w rodzinne wróc
[strony,

„Gdzie cię czeka twój ojciec, starzec biedny,
[stęskniony.

„Wszakże dosyć masz sławy, ta na wieki ci
starczy,

„Możesz cicho więc w domu miecz zawiesić na
[tarczy,

„I pod cieniem ojczystej spoczywając oliwy,
„Ród Pelidów utrwalić. Ma-ż twój ojciec sę-
[dziwy

- „Bezpotomnie, samotnie, rzucać świat ten na
[wieki,
- „Bez pożegnań ze synem, bez najczulszej opie-
[ki,
- „Bez uczczenia popiołów przez ryceskie igrzy-
[ska,
- „Bez dziedzica dla swego mienia, władzy, na-
[zwiska?
- „Ma-ż twa matka tak rychło, w samym kwie-
[cie młodości
- „Widzieć ciebie schodzącym w nieprzebyte
[ciemności?
- „I utracić skarb drogi, co zaledwie przez chwilę
- „W całym blasku widziała i piękności i sile?
- „Ach, ty nie wiesz, jak wielka strasznych mę-
[czarń przyczyna
- „Nieśmiertelnej i wiecznej śmiertelnego mieć
[syna.
- „Jak okropnie jest widzieć niezblaganą koniecz-
[ność
- „I nie móż jej odwrócić i tak zostać na wiecz-
[ność!“
- „Matko! — Achill odrzecz — co nam pomóc
[jest w stanie
- „Na zagubę skazanym naszych losów badanie?
- „Prędzej, później paść musim w otchłań dla
[nas otwartą;
- „Chwilę mozem odwlekać, lecz czyż odwlec ją
[warto?
- „Żeby stracić walk naszych i poświęceń ko-
[rzyści,

„Z drzewa życia spadając, jako suchych proch
[liści?
„Nieśmiertelność bez walki — bogów tylko
[udziałem!
„Oni jedni panują nad istnieniem nietrwającym,
„Oni jedni niezmienni, bez boleści i troski,
„Rozlewają strumieniem życie jako dar boski.
„Nieśmiertelność jest bogom przyrodzoną...
[My, ludzie,
„Ją zdobywać musimy w krwawym znoju i
[trudzie
„Życiem całym na szalę losów świata rzucen-
[nymi!
„Wytrwałością niezłomną, bohaterstwem i zgo-
[nem!
„Nam potrzeba bez trwogi wkroczyć w cienie
[Erebu,
„I wyjść stamtąd zwycięską, żeby wydrzeć ją
[niebu.
„Więc, gdy taka konieczność — bezskuteczny
[żał na co?
„Na co rady troskliwe, które wartość swą tra-
[cą.
„Nic odmienić nie mogąc? Tak więc, matko,
[daremnie
„Swoim żalem i smutkiem budzisz gorzką myśl
[we mnie,
„Tę myśl, która mnie także dręczy często bo-
leśnie,
„Żem jest tylko śmiertelnym i że umrę przed-
[wcześnie!“

„Na cóż ginąć przed czasem? — smutno The-
[tys odpowie —

„Byłeś tylko odstąpił, póki jeszcze jest pora ...

„Gdy ci żywot najdłuższy obiecują bogowie,

„I nie szukał triumfu w krwawym zgonie Hek-

[tora

„Dopóki on nie padnie, jesteś jeszcze bezpiecz-

[ny ...

„Tak brzmi wyrok przeznaczeń niewzrusony

[a wieczny.

„Ale szala ta sama, co zwycięstwo ci skłania,

„Razem czas nam odważa wieczystego rozsta-

[nia!

„Więc powstrzymaj, o synu! zapęd miecza zwy-

[cięski —

„Co ci przyjdzie z Hektora poniżenia i klęski?

„Co ci przyjdzie, że życiem bohaterów rozrzut-

[ny,

„Nową pošlesz ofiarę Persephonie okrutnej?

„Że ją wydrzesz rodzinie i rozkoszy i chwale,

„Tyle szczęścia niweczając? Gdy sam losów

swych szalę

„W czarny Hades przeważysz z wieczną matki

[twej szkodą

„I na głowę twą ściągniesz śmierć tak smutną,

[tak młodą!“

„Matko moja, Thetydo! — Achill znowu rozpo-

[cznie: —

„Naszym losem i każdym z naszych czynów

[widocznie

„Wyższe prawo rozrządza. Kto ma w sobie swej

[siły

„I wielkości poczucie, kogo mlekiem karmiły
 „Nieśmiertelnych bóstw piersi, ten się cofnąć
 [z swej drogi
 „Choćby zechciał, nie może. Bez litości, bez
 [trwogi
 „Musi ciągle iść naprzód, niosąc z sobą miecz
 [krwawy;
 „Jak niewolnik swych czynów, swej wielkości
 [i sławy,
 „Musi zdeptać, co słabsze i po ciałach tysiąca
 „Bohaterów przejść z wzdargą, jak potęga ni-
 [szcząca,
 „Z każdą sławą się mierząc, która zazdrość
 [w nim budzi,
 „I nie znosząc równego wśród pól - bogów i
 [udzi,
 „Póki jeden nie stanie ponad światem wszech-
 [władnie,
 „Jako pomnik na przyszłość, lub dopóki nie
 [padnie.
 „Na tym właśnie polega nasza wielkość i chwa-
 [ła,
 „By dokonać wszystkiego, co nam tylko wska-
 [zała
 „Moc wewnętrzna, nie dbając, co i kiedy nas
 [czeka?
 „Bez litości nad sercem i nad losem człowieka.
 „Prąd nas zmusza, silniejszy ponad żale chwi-
 [lowe,
 „Pędzić dalej a dalej po zdobycze wciąż nowe,
 „Przez triumfu i klęski, przez orężne zatargi

„Całych plemion, przez stosy ciał poległych,
[przez skargi
„Biednych starców i niewiast, przez ruiny i
[zgliszcze.
„Tak zdążamy do kresu .Każdy mniema, że zy-
[szcze
„Nieśmiertelność dla siebie i nie troszczy się
[wiele,
„O przeznaczeń wyroki i o skryte ich cele.
„Ostateczny cel jaki? Nikt się tego nie dowie
„Z nas śmiertelnych: zaledwie znać go mogą
[bogowie“.

ENDYMION

Błada Selene w błękity rzucona,
Do drzemiącego wiecznie Endymiona
Co noc miłośnie wyciąga ramiona.

I czoło w srebrne ubiera promienie,
Kładąc na ustach senne pozdrowienie
I pocałunku wiecznego milczenie.

I ten cień cichy umarłych pasterza,
Nie przebudzony w uściskach kochanki,
Co noc się nową młodością odświeża
I we mgłach tonie w różane poranki.

A przechylony w rozkosznym wygięciu,
Z wieczną pięknością, co mu z twarzy świeci,
Spoczywa cicho u lubej w objęciu,
I z nią w zachwytych nieskończoność leci,

I tak przez wieki pojąć się zachwytem,
Spleciony smutnej ogniwnem miłości,
Grobów legendą jest i rajskim mytem,
Co zaświatowe rozjaśnia ciemności.

O! wieczność taką zyskać sobie senną,
Z takim aniołem, co życia nie budzi,
Lecz tylko duszę kołysze promienną
I łzami czoło rozpalone studzi,

I być strażnikiem grobów, które proszą
O lzy i miłość i być tylko cieniem,
Którego skrzydła anielskie unoszą
Między nicością a grobów marzeniem —

To warto drugą wiecznością boleści
Kupić ją sobie i z ducha pogodą
Za żywot, co się już w piersiach nie mieści,
Wziąć nieśmiertelność marzeń wiecznie młodą.

Za tym więc pójdę snem i za tym niczym,
Tonąć w objęciu słodkim i dziewiczym,
Co grób osłania życiem tajemniczym,

I ta miłości pełna i stęskniona
Do mnie nowego zstąpi Endymiona,
I pocałunkiem czas mi zamknie — ona!

WIDMO JESIENI

Tak żywe niegdyś błękity
Cieniami zaszyły szarymi;
Jakiś duch mgłami spowity
Zimną dłoń kładzie na ziemi.

Przez mgieł przejrzyste zasłony
Przegląda postać widziadła:
Wzrok jakby mgłami zaćmiony,
Twarz chłodna, smutna, wybladła.

Na czole wieniec zczerniały
Kropelki sączy wilgotne...
Po kwiatach, co się rozwiały,
Zostały ciernie samotne.

Tak płynie z schyloną twarzą,
Roznosząc ciszę złowrogą,
A łzawe spojrzenia rażą
Sennością, smutkiem i trwożą.

Przyciska do ziemi łona
Dłoń skrzeplą — ziemia się wzdryga,
Lecz tchem grobowym rażona
Martwieje, głuchnie, zastyga.

K A M I E Ń

Ja tylko jestem kamieniem,
I jako niemowlę tu,
Objęty matki ramieniem,
Cichego używam snu:

Ledwie świt ducha półsenny
Mnie z łona martwości zwie,
I w mojej piersi kamiennej
Poczuciem istnienia tchnie.

Jeszczem związany łańcuchem
W szeregu bezwiednych brył,
Z ogólnym natury duchem,
Z kolebką bezwiednych sił.

Jednak przeczuwam powoli,
Że zacznie pierś moja bić,
I marzę o ludzkiej doli
Chcę kochać, cierpieć i żyć!

I wierzę, iż ten, co kruszy
Dziś moją powłokę, grom,

Otworzy dla mojej duszy
Wspanialszy cielesny dom.

I witam z dreszczem rozkoszy
Każdy zadany mi gwałt,
W zniszczeniu, co mnie rozproszy,
Zgadując przyszłości kształt.

Tam, gdzie się boleść zaczyna,
Bezwiednej martwośći kres,
A nad nią boska kraina,
Gdzie miłość wykwita z łez.

Przez wszystkie śmierci ogniwa
Postępu ciągnie się nić,
Ból samowiedzę zdobywa,
Chcę cierpieć, kochać i żyć!

USPRAWIEDLIWIENIE

Odtrąciłem od siebie z daleka
Samolubną boleść, co się żali;
Jednak w piersiach mam serce człowieka
I nie jestem ukuty ze stali.

Więc dźwigając swoich smutków brzemię,
Czuję nieraz, że mi braknie sił,
I upadam zmęczony na ziemię,
Odkrywając rany, którem krył.

Lecz słabości nie wstydzę się swojej,
Ni litości cudzej, którą czerpię:
Mnie czasami żądać jej przystoi,
Gdyż nie tylko sam za siebie cierpię.

Wszystkie ludzkie nędze i rozpacze
W swoim sercu pomieszczone mam,
Gdy nad szczęściem utraconym płaczę,
To nad czym? — Nie wiem dobrze sam!

KRÓL JUBA

Chodź, Petrejuszu, rzecze król Juba,
Po co nad klęską chmurzyć swe czoło?
Nie czas żałować: skończona próba,
Potrzeba zginąć wesolo!

Cezar zwycięzca, my zwyciężeni,
Już się nie dźwigniem więcej z pogromu;
Pole zabitych krwią się rumieni
I nie ma walczyć już komu.

Cezar nas wszystkich osaczył w matni:
Na cóżby wszystkie skargi się zdały?
Czy my to pierwsi? czy my ostatni,
Co nędznie ginie bez chwały?

Ktoś musi zawsze ustąpić z drogi.
Dziś na nas kolej: oni są górą!
Lecz, Petrejuszu, klnę cię na bogi:
Czemu spoglądasz ponuro?

Czy żal ci tęczy złudzeń rozwianej?
Żal ci wolności jasnych sztandarów?
Rzymu, co będzie dźwigał kajdany
Pod stopą swoich cesarów?

Żal ci szlachetnej myśli, co ginie,
A której inni podjąć nie zdolni?
Rozpogódź czoło, mój Rzymianinie,
Zgon nas od troski uwolni.

Ja, barbarzyńca, syn dzikich plemion,
Nie będę waszym rozpaczom wtórzył;
Gdy lud zwycięzcy gnie się do strzemion,
Ma los, na jaki zasłużył.

Ja, barbarzyńca, nie znam co smutki,
Walczyłem z wami wiernie do końca;
Teraz chcę jeszcze przez ten czas krótki
Ucztować do wschodu słońca.

W moim pałacu czeka biesiada,
Więc ciebie na nią zapraszam w gości:
Zanim nam usta zamknie śmierć blada,
Wypijem na cześć wolności!

* * *

Cóż, miły gościu? czyż nie ochoczo
Bawim się, tłumiąc myśli złowieszcze,
Zanim nas tutaj wrogi zaskoczą,
Do picia mamy czas jeszcze.

Niech żyje słodka winna jagoda!
Niech żyje napój zesłany z nieba!
Takich nektarów zostawiać szkoda,
Amfory skończyć potrzeba.

Więc prędeż czary wychylmy do dna,
Każda z nich z czoła chmurę nam strąca:
Niech żyje męstwo i myśl swobodna!
Niech żyje wolność ginąca!

Chodź, niewolnico, moja ty biała,
Śnieżnym ramieniem opasz mi szyję;
Niech żyje powab pięknego ciała,
Cypryjskie bóstwo niech żyje!

Weź jeszcze swoją lirę do ręki
I śpiewaj grecką piosnkę miłosną:
Niech żyją pieśni rozkoszne dźwięki,
Od których serca tak rosną!

Dość, dość, Greczynko! dolej nam wina
I ucisz ust twych śpiewne słowiki,
Niech nam numidzka teraz dziewczyna
Zatańczy taniec swój dziki.

Dosyć i tańca: jutrzeńka chyża
Niedługo dzieńne światło odnowi,
Więc nasza uczta także się zbliża
Teraz ku swemu końcowi.

Wszystko się kończy, co się zaczyna,
Czy złe, czy dobre losy człowiecze:

Ostatnią czarę spełnijmy wina
I weźmy w dłonie dwa miecze.

Zmierzym się z sobą, tak, dla zabawy,
Wiem, że się stałą zabawim ładnie.
Komu los będzie sprzyjać łaskawy —
Ten z ręki drugiego padnie.

W walce umierać jakoś najładziej,
I cała przykrość namysłu znika.
Kto pozostanie niech sobie radzi —
I zginie z rąk niewolnika.

Cóż, Petrejuszu? rozjaśniasz lica
I za żelazo chwytasz z pośpiechem?
Mój pomysł ciebie widać zachwyca,
Bo usta krasisz uśmiechem!

A więc skrzyżujmy nasze oręża,
O cios śmiertelny będziem się spierać,
Walczmy jak wrogi, walczmy jak męża,
Z których chce każdy umierać.

Co? ty się chwiejesz pod moim ciosem...
Padasz na ziemię, o Rzymianinie?
Słusznie, żeś został wybrany losem,
Wszak byłeś u mnie w gościnie.

Musisz mi przyznać, że byłem hojny,
Niosąc ci w końcu ten dar żelazny:
Już nic nie pragniesz... jesteś spokojny,
Poległeś z ręki przyjaznej.

Teraz i na mnie nadchodzi kolej...
Daremnie żądać pomocy bratniej.
Greczynko! jeszcze wina mi dolej,
Daj pocałunek ostatni!...

Hej, niewolniku! zwiędły mi róże,
Przygotuj świeży wieniec na skronie,
Popraw draperie na mej purpurze.
A teraz ujmij miecz w dłonie .

Posłuchaj chłopcze... wolnym cię robię,
Tylko idź ślepo za moim rozkazem:
Kiedy różami czoło ozdobię —
Przeszyj mi piersi żelazem!

OCIEMNIAŁY THAMIRYS.

Niewidomego starca prowadzi pacholę,
Wspierając drżące kroki, Z ramion jego spły-
[wa

Szmat spłowiałej purpury, a na jego czole
Lśni złocisty diadem. Broda długa, siwa,
Twarz blada, co powagę i smutek wyraża;
Martwo się patrzą w błękit dawno zgasłe oczy.
Jakby widmo królewskie w lachmanach nędza-
[rza,

Tak on, wsparty na chłopcu, z trudem naprzód
[kroczy.

Długą przebyli drogę; starzec, bliski zgonu,
Dźwigając ciężkie nieszczęść i lat swoich brze-
[mię,

Kazał się wieść na święte wzgórze Helikonu,
By tam pożegnać razem niebiosą i ziemię.

Po drodze często gowiedź przystaje ciekawa,
Otacza ich i głośno urąga starcowi,
Mówiąc: „Oto Thamirys, który bogów prawa
„Obwieszczał, przyrzekając, że wiek złoty
[wznowi;

„On to jest, co w świat wróżby rzucając fał-
[szywe,
„Mienił się muz kochankiem i bogów wysłań-
[cem,
„Co był królem i wieszczem, aż niebiosa mściwe
„Zrobiły go żebrakiem i ślepym wygnańcem“.
Lecz w pielgrzymie już gniewu żadnego nie
[budzi

Ni natrętna ciekawość, ani gorzkie słowo;
Obojętny on teraz na szyderstwo ludzi
I w dalszą idzie drogę z pochyloną głową.

Tak zwolna zaludnione rzucili równiny,
Minęli niższe stoki i lesiste wzgórza,
I pnąc się przez wąwozy i skał rozpadliny,
Stanęli, gdzie wierzchołek w błękitach się nurza.
Tam pod kamienną ścianą, wśród łomów zwa-
[liska,
Co tworzy tajemniczą grotę lub świątynię,
Kryształowymi wody czysty źródło wytryska
I z melodyjnym szmerem spływa po wyżynie.
Ponad bijące starzec przybliżył się źródło
I kazał pacholęciu wracać w strony swoje;
Poczym sam pozostawszy, twarz swoją wy-
[chudłą,
Przykleknąwszy, pochylił nad szumiące zdroje
I zaczął zwolna mówić:

„O, boskie dziewice!

„Życie moje ucieka, noc już moja blisko;
„Jako starzec przychodzę nad świętą krynicę,

„Do was, com dzieckiem widział nad moją ko-
[łyską.

„O, siostry nieśmiertelnej piękności i chwały!

„Bądźcie znów mi łaskawe tak, jak za dni onych,

„Gdyście mię na dziewiczym łonie piastowały

„I mlekiem swoich pieśni karmiły natchnionych.

„Nie szczędźcie mi ostatniej pociechy na ziemi!

„Noc ziemną, która z oczu i z serca nie schodzi,

„Rozświećcie mi nad grobem blaskami swoimi

„Niech spokojny odpłynę na umarłych łodzi.

„Niech mi nie przyjdzie zwątpić w rozpacz

[i trwodze

„O tym, co mi na drogach żywota świeciło;

„Niech po przebytych burzach smutny nie od-

[chodzę,

„Sądząc, że wszystko tylko prózną męką było!

„Jeżelim, uwiedziony ziemskiej pychy szalem,

„Zapominał, żem od was słowo brał natchnione,

„Jeśli w proroczej dumie wam dorównać chcia-

[łem,

„Zrywając tajemniczą przyszłości zasłonę —

„Tom dość był ukarany męką życia długą

„Za winy, które z serca wierzącego wyszły.

„Bo zresztą wiernym byłem waszych natchnień

[sługą,

„Wiodąc znękaną ludzkość do harmonii przy-

[szłej.

„Wyście mi lepszą świata odkryły połowę,

„Co nad zamętem walki łśni pogodą jasną;

„Pozwoliły podziwiać jutrzeńki różowe,

„Co rozświecają przyszłość i nigdy nie gasną.

„Wiecznych waszych melodii oddalone echo
„Przenosiłem na drżące struny swojej lutni;
„Upadające serca krzepiłem pociechą,
„Rzucając swoje pieśni tym, co byli smutni!
„Lecz próżnom zapowiadał jasnych bóstw przy-
[bycie

„I zwiastowałem nadejść mający wiek złoty,
„Co niebiańską pogodą opromieni życie
„I zakwitnie triumfem miłości i cnoty.
„Próżnom lepsze pragnienia w pierś zaszczepiał
[gminu

„I sam wraz z pieśnią swoją stawałem na czele,
„Podnosząc słabe serca, wzywając do czynu,
„I ukazując wyższe, doskonalsze cele . . .
„Złoty wiek nie nadchodził, nic się nie zmieniło
„W powszechnej nędzy bytu; zawsze tak, jak
[wprzód,

„Rozpacz szła za uciskiem, gwałt kroczył za siłą,
„A nienawiść i zemsta rozdzielała ludy.
„Zawsze te same klęski, niedole i zbrodnie
„Snuły się jak ogniwa jednego łańcucha;
„Zawsze te same szłu płonęły pochodnie,
„Zawsze te sama w głębiach noc nieszczęścia
[głucha.

„Więc w tej ciężkiego życia ponurej kolei,
„Tłum, co żądając szczęścia, w beczynności
[drzemie,
„Mnie oskarżył o zawód wzbudzonych nadziei,
„Na mnie zwałając wszystkich swoich nieszczęść
[brzemie.

„Ci, co marzyli dotąd o zbyt łatwym cudzie,
„Iskierką nietrwałego zagrzani zapалу,
„Pogardą i szyderstwem okryli mnie ludzie,
„Złorzeczając nieśmiertelnym blaskom ideału.
„Boleść ich oślepiła i w dzikim obłędzie,
„Zwodniczym kłamstwem zwali natchnioną moc
[waszą,

„I bluźnili jej, sądząc, że im lepiej będzie,
„Gdy wszystkie boskie światła w swych pier-
[siach pogaszą.

„Tak więc z pieśnią, co echa żadnego nie budzi,
„Okryty zniewagami i potwarzą splamion,
„Zostałem opuszczony przez bogów i ludzi,
„I królewska purpura opadła mi z ramion.
„W niepewności i trwodze przyszłość mi ściem-
[niała

„I opuścił pierś moją duch widzeń proroczy;
„A w ślad za nocą duszy przyszła noc dla ciała:
„Nielitościwe bóstwa zamknęły mi oczy.
„Niebiosy potwierdziły wymiarem tej kary
„Wyrok, co nad zuchwałym ciężył świętokradcą;
„Poszedłem na wygnanie żebrak ślepy, stary,
„Co byłem ludu mego i wieszczem i władcą.
„Dzisiaj przychodzę do was w śmierci mej go-
[dzinie,

„Byście mi rozwiązały zagadkę żywota:
„Czemu, gdy wszystko tutaj jak sen marny gi-
[nie
„Do idealnych światów wiedzie nas tęsknota?
„Czemu nam odsłaniacie swoją piękność skrycie?

„Czemu zbudzoną ze snu potrząsając duszą,
„Niezmierzone pragnienia w piersiach nam
[szczepicie,
„Jeśli nieugaszone wiecznie zostać muszą?
„Lub jeśli waszych natchnień opiekuńcza wła-
[dza,
„Tak, jakem wierzył przedtem, nie jest czczym
[pozorem,
„Lecz z błędów i niedoli ludzkość wyswabadza
„I posuwa ją naprzód wyznaczonym torem;
„Powiedzcie, czemu same spotkałem zawody,
„Tracąc jedno za drugim wszystkie światła
[moje?
„Czemu, zapowiedzianej dla duchów pogody
„Nie doczekawszy, smutny dziś nad grobem
[stoję?“

Umilkł starzec i w błękit ramiona błagalne
Wyciągnął, jakby niebios chciał dosięgnąć nimi,
I ubłagać dla siebie bóstwa niewidzialne,
Żeby dały ostatnią odpowiedź na ziemi.
Tak klęczał, zachodzącym słońcem oświecony,
Co mu na twarz rzucało ciepłą światła falę,
Siląc się przedrzeć ciemne żrenic swych zasłony,
By się raz jeszcze przyjrzeć dnia jasnego
[chwale.

Wyteżył swoje ucho w uroczystej ciszy
I chwycił wszystkie światów najłżejsze oddechy,
Czekając z utęsknieniem, czyli nie usłyszy
Śpiewnych dźwięków nadziei, łaski i pociechy.
A oto wśród cichego teraz pożądania

Zdaje mu się, że w boskich światłał majestacie
Czarna mgła ustępuje i oczom odsłania
Nieśmiertelnej piękności dziewicze postacie;
Zdaje m usię, że słyszy melodyjne głosy,
Co niebieskim spokojem przepelniają łono,
Jakoby ciche krople spadającej rosy
Na ziemię całodziennym skwarem rozpaloną.
Ten sam orszak świetlany, co niegdyś przed
[laty,

I widzi zstępujący na złotym promieniu
Unosił go z tej ziemi pomroki i cieniu,
Ukazując jaśniejsze, doskonalsze światy.
Znowu go pieści światła i harmonii fala,
Znów dawna ufność w serce powraca nieznac-
[nie,

Znowu go chór niebianek swym wieńcem okala,
I tak na jego skargi odpowiadać znacznie:
„Niewdzięczny! ty śmiesz jeszcze ślać nam skar-
[gi swoje

„Za łaski, cośmy hojnie zlewały na ciebie;
„Nam wyrzucać błędzącej duszy niepokoje,
„Co mimo boskich światłał w ciemnościach się
[grzebie!

„Czy tak cię przygniótł marzeń zbyt śmiały
[upadek:

„Czy tak cię chwila bólu przeraża i trwoży,
„Żeś się zbłąkał wśród życia pozornych zagadek
„I zatracił ślad jasny wiecznej myśli bożej?
„Wy, śmiertelni, bieg świata wyłącznie mie-
[rzycie

„Miarą krótkich dni swoich i w tej jednej chwili

„Chcielibyście to wszystko widzieć już w roz-
[kwiecie,
„Czego dopiero zasiew bogowie rzucili,
„I kiedy wam ich łaska tajną myśl odsłoni,
„Wskaże cel, ku któremu posuwać się trzeba,
„To wy go chcecie zaraz ująć w swojej dłoni,
„I nie dosięgłszy . . . próżno oskarżacie Nieba.
„Nie możecie zrozumieć, że ten tajemniczo
„Świecący wam nad głową ideał daleki
„Wiecznie nie uchwyconą jest dla was zdobyczą,
„Ku której się przybliżać należy przez wieki.
„Nie doskonałość bowiem waszym jest udziałem,
„Nie triumf, co już żadnej nie podlega zmianie,
„Lecz postęp, okupiony dążeniem wytrwałym —
„Dobra, prawdy i piękna wieczne pożądanie.
„To wasz skarb, który szczęście najwyższe sta-
[nowi

„I przepaściście drogi pochodni wyłłaca;
„Z nim możecie iść śmiało na przekór losowi,
„Pewni, że nie zmarnieje nigdy wasza praca.
„Jeśli więc samolubstwem i dumą popchnięty,
„Chciałeś za życia ujrzeć dokończony dzieło —
„To musiałeś zawodu wypić gorzkie męty
„I zrozpaczyć, że z tobą wszystko zaginęło.
„Lecz jeśli, po doznanym upadku i wstydzie,
„O przyszłe losy świata dręczy cię obawa,
„Jeżeli ci o prawdę twoich natchnień idzie,
„A niezmiennosc nędz ludzkich bólem cię na-
[pawa;
„To pociesz się, śmiertelny! Cel, co wam ja-
[śnieje

„W mgłach przyszłości, ten nie jest złudzeniem
[zwodniczym;
„Nie naprózno Niebiosa dały wam nadzieję
„I szlachetne pragnienia, niezgaszone niczym.
„W ciągu wieków, wśród ciągłych zmian i prze-
[obrażeń,
„Coraz więcej świat boskich przyswaja pro-
[mieni,
„I to, co należało do dziedziny marzeń,
„W niezłomną rzeczywistość później się prze-
[mieni.
„Przyjdzie czas, w którym wszystkie tve na-
[tchnienia wieszczę,
„Co dzisiaj, jak sen marny, w ciemność się roz-
[wiały,
„Kiedyś po twojej śmierci zmartwychwstaną
[jeszcze,
„I ozdobią cię blaskiem niespożytej chwały.
„Przyjdzie czas, gdy pieśń twoja, dziś martwa
[i głucha,
„Znow idealnym tchnieniem przejmie ludzkość
[młodą,
„I ten pośmiertny triumf tęskniącego ducha,
„Będzie za mękę życia sowitą nagrodą“.

BASŃ TĘCZOWA

poświęcona

F. V. Kvapilovi.

Od kolebki biegła za mną
Czarodziejska baśń tęczowa,
I szeptała wciąż do ucha
Melodyjne zaklęć słowa.

Urodzona nad wieczorem
Z cichych gawęd mych piastunek,
Spała ze mną, na mych ustach
Kładąc we śnie pocałunek.

I budziła się wraz ze mną,
I wraz ze mną ciągle rosła
I z kołyski na swych skrzydłach
W jakiś dziwny świat mnie niosła.

• Ponad morza purpurowe,
Ponad srebrne niosła rzeki,
Po zwodzonym moście tęczy
W cudowności świat daleki.

Otworzyła mi zaklęciem
Brylantowy w skałach parów:
I wkroczyłem raz na zawsze
W kraj olbrzymów, widm i czarów.

I zamknęły za mną wrota
Jakieś wróżki czy boginie,
Więc na całą życia kolej
Szedłem błędzić w tej krainie.

W tej krainie, w której wszystko
Ożywioną bierze postać,
W której każdy gład ma duszę
I człowiekiem pragnie zostać.

Złotolistnym szedłem gajem,
Gdzie się wszystko skrzy i złoci,
Gdzie zakwita skryty w cieniu
Tajemniczy kwiat paproci.

Szedłem gajem, gdzie dokoła
Śpiewające szumią drzewa,
Gdzie młodości wiecznej źródło
Czyste wody swe rozlewa.

I witały mnie po drodze
Rozmarzone oczy kwiatów,
Co patrzyły tak wymownie
W niezmierzoną przestrzeń światów.

I witały ludzkim głosem
Różnobarwnych ptasząt chóry,

Ukazując dalszą drogę
Nad przepaści brzeg ponury.

Ja słuchałem śpiewnej wróżby,
I z ożywczej piałem fali,
I w głąb dzikszej coraz puszczy
Niestrożony szedłem dalej.

Próżno groźne widma straszą,
Próżno klęby gadzin syczą:
Biegłem naprzód zapatrzony
W jakąś jasność tajemniczą.

I przebyłem czarne puszcze
I spienionych wód odmęty,
I stanąłem u stóp góry
Prostopadle na dół ściętej.

Na jej szczycie błyszczał zamek,
Kryształowy gmach olbrzyma,
Co zakłębem w swojej mocy
Najpiękniejszą z dziewic trzyma.

Przed zamczyskiem stoją smoki,
I te paszczą swą czerwoną
Ogień złoty i różowy
Pod obłoki w górę zioną,

Swe spiżowe jeżąc łuski
Bronią skarbu zakłębego;
Najpiękniejszej z wszystkich dziewic
W kryształowym zamku strzegą.

Jednak mimo czujnej straży
Jam ją ujrzał na skał szczycie
I odgadłem, żem tu przybył,
Aby dla niej oddać życie.

Miała gwiazdę na swym czole,
Pod nogami sierp księżyca,
Błękit niebios w swoich oczach
I aniołów cudne lica.

I od razu swym spojrzeniem
Zaszczepiła miłość w duszę:
I poznałem, że koniecznie
Do niej w górę dążyć muszę.

Więc po nagiej, gładkiej ścianie,
Zapatrzony tylko na nią,
Na powojów wiotkich splotach
Zawisnąłem nad otchłanią.

Coraz wyżej pnać się hardo,
Już widziałem ją przy sobie...
I w zachwycie do królowny
Wyciągnąłem ręce obie.

Miałem schwycić ją w objęcia:
Gdy powojów pękły sploty,
I upadłem w głąb otchłani,
Gdzie z ran ginę i tęsknoty.

Lecz choć z serca krew upływa,
Choć w przepaści ciemnej leżę,

Jeszcze wołam: „Za nią! za nią!
Idźcie gonić, o rycerze!“

„Idźcie piąć się w górę, w górę,
Ponad ciemnych skał krawędzie,
Może przyjdzie kto szczęśliwy,
Co ją weźmie i posiedzie.

„Choć nie dojdzie, chociaż padnie,
Przecież życia nie roztrwoni,
Bo najlepsza częśćka życia
W takiej walce i pogoni.

„Warto choćby widzieć zdala
Ów zaklęty gmach z kryształu;
Warto, płacąc krwią i bólem,
Wejść w krainę ideału.

„Gdyby przyszło mi na nowo
Od początku zacząć życie,
Biegłbym jeszcze po raz drugi
Za tą piękną na błękicie!“

Z EGIPSKIEGO RYTUAŁU ZMARŁYCH

Ozyrys szalę prawdy ujął w dłonie
I jedno oko zatopił jastrzębie
W cichej wieczności tajemnicze głębie,
A drugie zwrócił ku doczesnej stronie,
Skąd przylatują do niego po zgonie
Stadami ludzkie dusze, jak gołębie.

Z pomiędzy dobrych, co ciemne podwoje
Przebyli, jedni w zasług świetnej szacie
Idą odziani w purpurę lub zbroję;
Chwałą jaśniejają dumne ich postacie,
A o spełnionych czynów majestacie
Świadczą obszerne papyrusów zwoje.

W nich hieroglifów głoski tajemnicze
O każdym wielkim wspominają czynie,
I wyliczają: wzniesione świątynie,
Prace pokoju, dzieła wojownicze,
Nadane prawa, duchowe zdobycze,
Wielkie przewroty, których pamięć słynie.

Skromnie dusz drugich zbliża się gromada,
Nie niosąc z sobą bogatego żniwa:
Każda do innych przytulić się rada,
Każda pokornie w cieniu się ukrywa,
I przed sędziego podchodząc trwożliwa,
W tych krótkich słowach z życia się spowiada:

„Proch prochów tylko wśród świata ogromu!
Nie uzbierałem zasług w mym żywocie;
Przychodzę teraz w trwodze i tęsknocie
Po zmiłowanie do wieczności domu,
Bom nie wycisnął żadnej lzy nikomu,
Ale ją nieraz otarłem sierocie.“

Ozyrys-sędzia treść żywotów waży
Na szali prawdy, podejmując z ziemi
Wszystkie uczynki głośne wraz z cichymi.
Łaskawy uśmiech osiadł mu na twarzy,
Jednych i drugich wedle zasług darzy,
I taki wyrok wydaje nad nimi:

„Wy, którzy dzieła spełnacie olbrzymie,
Na nowe tory pchając ludów życie!
Wy, co zwycięsko po ziemi krocycie
We krwi i trudzie, w jasności i dymie,
Czynami swoje zapisując imię
Na korze ziemi, na niebios błękiecie,

„Waszą jest głośna nieśmiertelność chwały!
Waszym blask wieczny, który was wydzieli
Z powszechnej istot ginących topieli,

I da wam żywot odrębny i trwały
Pośród pokoleń, co was będą znały
Jako swych wodzów i nauczycieli.

„Ale nie dla was słodki cień mogiły,
Nie dla was zmarłych wypoczynek święty:
Wciąż nowe rzesze będą was sądziły
I naruszały grobowiec zamknięty,
Będą przetrząsać wszystkie życia męty,
Aż przeklną jutro to, co wczoraj czciły.

„I wyjdą na świat wszystkie tajne nędze,
Które wy ukryć pragniecie głęboko...
Zdejmą z was wierzchnią złotogłowu przedzę,
I na jaw wszystkie słabości wywloką,
A pożądlive potomności oko
Będzie się waszej urągać potędze.

„Wy zaś, o cienie! ciche, bezimienne,
Które, jak kwiaty ukryte w ustroni,
Ledwie ślad swojej zostawiacie woni,
Wy, duchy, czystym uczuciem promienne,
Które swych bliźnich niedole codzienne
Dotknięciem miękkiej łagodzicie dłoni,

„Wy, domowego kapłani ogniska,
Coście przez ziemię lekką przeszli nogą,
I nie zranili w pochodzie nikogo,
Wolni od sławy, która przez zwaliska
Idąc przebojem, nieraz łyzy wyciska
I burzy szczęścia lepiankę ubogą,

„Wy się nie skarżcie na pośmiertne wiano!
Bo waszą będzie nieśmiertelność cicha:
Wam będzie słodycz wypoczynku daną...
I pić będziecie z wieczności kielicha
Niepamięć, której pozazdrości pycha,
Widząc, jak dumny proch sponiewierano.

„Wy utoniecie w wielkim oceanie,
Skąd wschodzi, dokąd znów powracać spieszy
Wszelkie dusz ludzkich anielskie świtanie.
I roztopieni w bezimiennej rzeszy
Będziecie światłem, które ludzkość cieszy
Bez względu na to, gdzie i jak powstanie“.

LYKOFRON DO FATUM

Przyjacielowi w braterskim upominku

Już dogorywał świat grecki; minęły wieki
Potężnych natchnień młodzieńczych i wyschły
[źródła twórczości;

Wśród sporów biegłych sofistów

Konało piękno;

Umilkły lutnie poetów. Jeden z ostatnich,
Żyjący wówczas, Lykofron, co skrycie czcił
[jeszcze Muzy,

Na progu opustoszałej

Świątyni bogów,

Na marmurowej tablicy, ten napis wyrył:

„O, Fatum! pożerające ludzi i bogów,
Grzebiące w ciemnej otchłani długie pokoleń
[szeregi,

Głuche na wszelkie wołania

I bez litości!

Czy cię czcić? czy też przeklinać? Nie wiemy.
Nie wiemy, jakim sposobem dzierzysz swą wła-
[dzę nad nami,

Nie wiedząc, czyli dłoń twoja
Świat wydobyła
Z bezwładnej chaosu nocy, co bez początku...

„Pierwotnie przed twoim tronem stał ród kwit-
[nący
Promiennych blaskami niebian, którzy z two-
[jego ramienia,
W przystępnej ludziom postaci
Rząd sprawowali;
Wypełniał światów przestrzenie orszak tęczyowy,
I igrał w powietrznej fali ogniami nieśmiertel-
[ności,
I złotą jutrznią Olympu
Oczom śmiertelnych
Przesłaniał oblicze twoje nieubłagane.

„Ułomne były to bogi! żądz ludzkich pełne,
Dyszające gniewem, zawiścią, rozkoszujące się
[jękiem
Skazanych na wieczność całą
W czarnym Hadesie.

Ułomne były to bogi! chciwe swej chwały,
Cień tylko władzy znikomy posiadające w swej
[dłoni

I nic nie zdolne odmienić
W przeznaczeń biegu,
Wytkniętym po za ich wiedzę przez kolej wie-
[ków.

„A przecież te ich postacie świeciły ziemi
Blaskiem wieczystej młodości i nieśmiertelnych
[rozkoszy,

I żyły w całej swej krasie
W sercu człowieka;
Dobrze spoczywać mu było w cieniu ich łaski,
Zwracać się do nich z modlitwą w pragnieniach
[nienasyconych
I żądać losów odmiany
W każdym nieszczęściu
I wierzyć, że mu pomogą, gdy ich przebłaga.

„Ale ty, w cieniu schowana, surowa władzo,
Przygotowałaś w milczeniu koniec boskiego ich
[bytu,
Z spokojem patrząc się na to,
Jak giną wieczni;
Patrzałaś, jak się spychają z niebieskich wyżyn,
Jak odsłaniają śmiertelnym całą swą słabość
[i nędzę,
Jak zamierają powoli
W piersiach ludzkości —
Aż pogrzebałaś ich wszystkich w bezdennej
[próżni.

„Tak padły całe ich rody! Różowy Olimp
Girlandą gwiazd spalających w przestrzeń roz-
[sypał się ciemną.

Nawet ogniste Hadesu
Zagasyły tonie.

Nastąpiła posępna cisza; świat opustoszał;
Wszystko i wszystkich zrównało powszechnie
[prawo zagłady;

A człowiek sam na sam z tobą
O, ślepe Fatum!
Pozostał, mając pod nogą otchłań nicości.

„Sam wobec twojej wszechmocy pełnej tajemnic
Pozostał jako niewolnik niezrozumiałej tyranii,
Wpatrzony w wieczną zagadkę
Swego istnienia,
Na gruzach wszystkich swych marzeń poza-
[światowych
Zobaczył tylko w błękitach cień twój bez-
[kształtny, olbrzymi,
Który nikogo nie karze,
Ani nagradza,
Lecz wszystkim wyznacza miarę koniecznej
[męki.

„Jednak twe rządy ponure nie są wieczyste;
Bo twój niewolnik powstanie w przyszłości prze-
[ciwko tobie,
Kłamliwa maro nicestwa,
O, ślepe Fatum!
I strąci gwałtem ze szczytu nieskończoności
Twą maskę nieubłaganą, a ta, spadając z błę-
[kitów,
Odsłoni jasnego Boga,
Który z miłością
Wciąż wyżej po szczeblach przemian prowadzi
[światy.“

KANTATA

NA JUBILEUSZ J. I. KRASZEWSKIEGO

C h ó r

Szczęśliwy, komu w życiu dano
Doczekać plonu swojej pracy
I ujrzeć myśl swą przechowaną
I najpiękniejsze zdobyć wiano
Z kłosów, co niosą mu rodacy.

Szczęśliwy, kto swą pierśią własną
Wykarmił całe pokolenia
I wytknął dla nich drogę jasną,
I w nowych jutrzniach, co nie gasną,
Ogląda dzieło odrodzenia.

Szczęśliwy, kto naprzód w znoju
Z hasłami, które ludzkość budzą
I walcząc w ciszy i pokoju
Dokonał ludzkich dusz podboju,
Niezaćmionego krzywdą cudzą.

Szczęśliwy! Palmy zwycięstw z dłoni
Nie wydrze ramię mu niczyje;
Burza go nieszczęść nie dogoni —
On wyszedł z ciemnej losów toni
I nieśmiertelny w sercach żyje.

G ł o s

I naród żyje, gdy mu przodem
Pochodnia wielkich myśli świeci;
I jeszcze wielkim jest narodem,
Gdy się odświeża życiem młodym,
Wydając z siebie takie dzieci.

Żyje, gdy na świat z jego łona
Wychodzą zbrojni wciąż rycerze,
Których wróg żaden nie pokona,
A ludzkość ze czcią ich imiona
Wpisuje w dziejów karty świeże.

Żyje ten naród, co prawdziwą
Zasługę pojmie i ocenia,
I w ślad za myślą idzie żywą
I zbiera świeżych kłosów żniwo
Na drogach swego odrodzenia.

C h ó r

Więc w uroczystym dziś obchodzie,
Wielkiego męża czcimy święto:
W bratniej miłości, w bratniej zgodzie,

Nieś mu życzenia swe, Narodzie,
Niech kończy pracę rozpoczętą.

Niech rozpościera jasność wszędzie
I zbiera owoc swoich trudów:
W wielkich zdobywców stając rzędzie,
Niechaj Ojczyźnie swej zdobędzie
Cześć i braterstwo wszystkich ludów.

Niech dzień ten przyszłość nam zapowie,
Do której zwolna ludzkość wiodą
Najszlachetniejsi jej synowie:
A czyn zamknięty dotąd w słowie
Najmilszą będzie mu nagrodą.

NA GROBIE WINCENTEGO POLA

Ciebie, ach, duchy zawiody łaskawe
Do źródeł przeszłej pokoleń wielkości
I moc ci dały dawną wskrzesić sławę,
I ubrać w ciało rozsypane kości.

Na znak twój, przeszłość uśmiechnięta wstała,
I kipi życiem rycerskiej drużyny:
W bojowym szyku proporce rozwiała,
Znów na orężne gotując się czyny.

Znów chrzęszczą zbroje i husarskie skrzydła,
I z wzdętą piersią arabskie rumaki
Rwą się do boju, pomimo wędzidła,
I przelatują jak huragan jaki!

Szlacheckie dworki wypełnione zgiełkiem,
Braterskie uczty, sejmiki i kłótnie,
Wszystko to miga tęczowym światelkiem,
Drży w tonach pieśni uroczu i smutnie.

Wszystko powstało i wszystko ożyło!
Bo śmierć jest kłamstwem, w które nikt nie
[wierzy:

Natchnione serca znajdą pod mogiłą
Gotowych w szranki powrócić rycerzy.

Tyś znalazł słowa zaklęć, co z błękitu
Zniknione mary na świat przywołały;
A więc stać będziesz kolumną granitu:
Pomnikiem polskiej i pieśni i chwały.

ORFEUSZ I BACHANTKI

Pani Marii Ilnickiej

C h ó r B a c h a n t e k

Dionysos, boski, boski,
Przyszedł na świat uśmiechnięty,
By przemienić łyżę i troski
W młodocianych żądz ponieży;

W złotej czarze
Przyniósł w darze

Upojenia słodki szal
Dla spragnionych dusz i ciał!

Z jego przyjściem prorocstw ciemnych
Ustąpiła cześć i trwoga,
Ustał mściwy rząd Podziemnych,
Słonecznego mając boga;

Ziemia cała
Zapomniała

O żałobie przeszłych dni,

I o szczęściu tylko śni.
Orfeusz! lirę swoją
Do słodkiego nastrój brzmienia,
Niech jej dźwięki rozkosz zdwoją,
Co nam piersi rozplómienia,
Niech się w serca nasze leje,
Niech zapala ogniem krew,
Niechaj z nami wraz szaleje
Słodki śpiew!

Świeżej wiosny śpiewaj wdzięki,
Niezmąconą życia radość,
I ciał naszych powab miękki
I namiętnych pragnień bladość.
Nowych światów pieśń weselną.
Pieśń zmysłowych ponęt stwórz,
Daj ją nagą i bezczelną
W wieńcu róż!

O r f e u s z

Powróciłem z podziemnej otchłani,
Z posępnego umarłych królestwa
I wciąż widzę, jak cierpią skazani,
Widzę wieczność męki i nicestwa...
I straciłem u piekielnych progów
Pamięć szczęścia i słonecznych bogów.

Zostawiłem za straszliwą bramą
Mej miłości i walk moich ślady,
A wyniosłem ból i rozpacz samą,

Gdy w objęciach cień jej zniknął blady,
A jam nie mógł powrócić przebojem
Po jej życie, które było moim.

Wtedy pękły struny w mojej lirze,
Struny serca, co tak dźwięczne były,
I w piekielnym utonęła wirze
Przeszłość pełna słodyczy i siły,
A jam odszedł okryty żalobą,
Zostawiając wszystko poza sobą.

Nie żądajcie więc pieśni ode mnie,
Bo ja z wami w szeregu nie stanę,
By na gruzach przeszłości nikczemnie
Wielbić świata jaskrawą przemianę,
I przed waszym schylając się bogiem
Wydrzeć z serca, co było mi drogim.

Wszystkie wasze pragnienia i cele,
Wszystko, co was upaja i pieści,
I serc waszych bezwstydne wesele — —
Wszystko mojej urąga boleści,
I pogardzam kłamliwą rozkoszą
I bóstwami, co ją wam przynoszą.

C h ó r B a c h a n t e k

Czy słyszycie? czy słyszycie?
Naszych bogów czcią pomiata,
I znieważa nasze życie,
Odrodzeniem gardząc świata.

A więc pocóż z myślą chorą
Wśród kwiecistych życia łąk,
W drodze stawać ma zaporą?
Niechaj ginie z naszych rąk!

D i o n y s o s

Coście zrobili! . . . Potrzaskana lira,
I śpiewak martwy u stóp waszych leży,
W ręku Bachantek, pod ciosem Satyra,
Ucichł na zawsze zdroj melodii świeży.

I krwawym laurem uwieńczono skronie
Tego, co wyraz ludzkiej dał rozpaczy,
Wyraz tak śpiewny, że długo po zgonie
Przemawiać będzie do smutnych słuchaczy.

Taką jest zwykle sprawiedliwość świata,
Która dawniejsze bożyszczą obala,
Taką dla natchnień minionych zapłata,
Kiedy kierunek zmieni rwąca fala.

Trudno! nie można powstrzymać strumienia,
Ani młodzieńczych uniknąć nadużyć,
Kroczące naprzód nowe pokolenia
Kruszą narzędzia, co im nie chcą służyć.

Świat żywych musi niewdzięcznym pozostać
Dla tych, co sercem z przeszłością związani,
Zniklioną wiecznie oplakują postać,
Myślą do ciemnej wracając otchłani.

Musi zapomnieć ziemia o swych stratach,
Aby na nowo stanęła w rozkwicie...
W namiętym szale i weselnych szatach
Musi biec dalej odmłodzone życie...

Pobojowiska, gruzy i cmentarze
Muszą się pokryć kwiecistą zasłoną,
I słodki napój musi szumieć w czarze,
I poić nowych biesiadników grono.

I słusznie rzesza żywych się domaga,
By dla niej z pieśni nowa jasność biła,
Świeża chęć życia i świeża odwaga,
Co by ją naprzód w przyszłość prowadziła.

PIGMALION

Pani Marii i Marianowi Sokołowski

Jam cię wydobył z marmurów spowicia,
Gdzie spoczywałaś bez kształtów na wieki,
Nie powołana przez bogów do życia;
Jam sercem cień twój odszukał daleki,
Błądzący w istot niestworzonych rzędzie;
Ja cię przeniosłem przez ciemne krawędzie
Snu i nicestwa na ten świat słoneczny,
Twojej piękności dając wyraz wieczny.

Stworzyłem cię swojej piersi tchnieniem...
I moja dusza w marmur moc przelała,
Ażebym martwym przestał być kamieniem,
I przybrał powab dziewiczego ciała,
I zadrżał drżeniem bijącego łona,
I tchem rozkoszy, którym ożywiona
Zdajesz się na świat wybiegać z ukrycia,
Spragniona blasków, miłości i życia.

Dałem ci senne i spokojne trwanie
I słodkich wzruszeń dałem wdzięk zwodniczy,

Przecucie szczęścia, miłości zaranie,
Uśmiech i wyraz niebiańskiej słodyczy,
Wszystko ci dałem, wszystko co potrzeba,
Prócz jednej iskry życiodajnej z nieba.
I oto teraz zgryzota mnie kruszy,
Że dając tyle, nie mogłem dać duszy.

Bóstwa, co sięgnąć śmiertelnym nie dadzą
Po tajemniczą, boską moc tworzenia,
Karząc mnie zaraz, nieprzewartą władzą
Do twej postaci przykuły z kamienia,
I moje serce miłością wybucha
Do tego kształtu, co stanął bez ducha,
I burza uczuć namiętna i wrząca
O twe kamienne stopy się roztrąca.

Przy tobie każda inna piękność blednie,
Jako noc w chwili, gdy świta poranek.
Nie dla mnie teraz rozkosze powszednie,
Nie dla mnie zwykle pieszczoty ziemianek,
Nie dla mnie żywa usteczek wymowa,
Ni uśmiech, który w rumieńcu się chowa.
Bo tu na ziemi i w ciemnym Erebie
Nie będę żadnej kochał, oprócz ciebie.

Lecz próżno chciwie wyciągam ramiona
I próżno wszystkie powtarzam zaklęcia...
Bo ty nie zstąpisz drżąca i stęskniona
I nie upadniesz w otwarte objęcia;
Ogniem się piersi twoje nie zapalą,
I nie poruszą żywą pragnień falą,

W twych oczach płomień nie zabłyśnie świeży,
I serce na mym sercu nie uderzy.

Usta, co chylić zdają się tak skromnie,
Czekając pierwszych pocałunków świtu,
Te się miłośnicie nie przybliżą do mnie,
Nie zleją z mymi w jedną pieśń zachwytu!
Dreszczem rozkoszy, rumieńcem i łzami
I nie zanurzysz duszy mej widomie
W wspólnego szczęścia świetlanym ogromie.

Zawsze stać będziesz nieruchoma, cicha,
W marzeniu z łoną martwości wysnutym,
I sercu memu, co z pragnień usycha,
Na skargi niemym odpowiesz wyrzutem:
Że cię z nicości przywoławszy czarnej,
Dalem istnienia tylko pozór marny!
Będziesz mi wiecznie przypominać winę,
Za którą cierpię, szaleję i ginę.

Lecz nie tak będzie! Żałować nie mogę,
Żem ciebie stworzył i ukochał razem,
Bom twoim kształtom w przyszłość wytknął
[drogę,
Ukrywszy płomień pod milczącym głazem...
I po mej śmierci twa pierś marmurowa
Całą mą duszę weźmie i przechowa
I przystęp twórczym natchnieniem otworzy
Dla przyszłych wieków nadchodzącej zorzy.

Więc jako światło w grobowcu płonące
Zniknionych światów zabłyśniesz urodą
I w ciemność iskier rozrzuć tysiące,
Którymi ludzkość poobdzielasz młodą.
W czasach pokrytych barbarzyństwa cieniem
Ty będziesz niebios jasnym objawieniem,
Przed którym dzikie plemiona uklękną,
Czcząc w tobie boskie, nieśmiertelne piękno.

Piękność wystąpi jako nowa siła,
Co ponad żądzę zmysłową, namiętą
Serca pokoleń będzie podnosiła,
Kładąc pragnieniom szlachetniejsze piętno
I wschodząc w ciała czystości dziewiczej
Krąg przeobrażeń przejdzie tajemniczy,
Aż w ludzkich uczuć i czynów dziedzinie
Wieczyste ducha piękności rozwinie.

MEMNON

PP. Trojackim

Niedaleko oceanu wybrzeży,
W cichej grocie, gdzie się jutrznia zwykła kryć,
Ranny Memnon na wilgotnych mchach leży
I nie może umrzeć, ani żyć.

Co noc Eos, nim wybiegnie w niebiosą,
Tam przychodzi nad swym synem ronić łzy,
I na chwilę macierzyńskich łez rosa
Z jego czoła spędza ciężkie sny.

Wtedy rwie się z jego piersi zbolalej
Cichej skargi melodyjny, smutny ton,
Przypomina dni wielkości i chwały,
I swej matce tak się skarży on:

„Czemuś ty mi wyprosiła, o matko!
„Tego trwania pośmiertnego straszny dar?
„Żem pozostał dla podziemnych zagadką,
„A dla żywych jedną z próżnych mar.

„Po co było żądać dla mnie u bogów
„Świadomości, z której płynie tylko ból,
„Po co było zatrzymywać u progów,
„Gdym miał odejść do szczęśliwych pól?

„Lepiej było wraz z cieniami innymi
„Naraz stracić całą pamięć ziemskich dni,
„Niż pozostać nawpół martwym na ziemi,
„Z sercem, które o przeszłości śni.

„Co mi z tego, żem przechował zamkniętą
„Skrę żywota przez tę długą grobu noc,
„Gdy mi wszystkie jego dary odjęto:
„Dzielność, chwałę i królewską moc!

„Każdy może mnie znieważać bezkarnie,
„Może śmiało bezwładnego deptać lwa . . .
„A ja muszę znosić wszystkie męczarnie,
„Bo tak chciała, matko, miłość twa!“

Na to Eos z macierzyńską pieśczętą:
„Synu — rzeknie — biedny synu mój!
„Znosić musisz taki smutny los po to,
„Byś mógł powstać na ostatni bój.

„Przeznaczenie próśb daremnych nie słucha,
„Wszystko trzeba okupywać nam,
„Trzeba w grobie zdobyć nową moc ducha
„Chcąc do życia znów powrócić bram“.

FRESK POMPEJAŃSKI

Zielone, wonne gaje rozsiadły się wkoło,
Po uroczych pagórkach zbiegając w doliny;
Gdzieniegdzie dąb lub kasztan podnosi swe
[czoło,
Po nad drobniejsze mitry, laury i jaśminy.
Łagodnie pluszczą źródła skryte gdzieś w zie-
[leni,
I z melodyjnym szmerem z skał ściekają dalej,
Srebrzystym wężem migną wśród łomu kamieni
I pod sklepieniem dębów w cichej płyną fali.

W powietrzu pełno woni, ciepła, barw i blasku
I błękit przesiąknięty tym światłem gorącym,
Zda się lśnić niby pyłkiem złocistego piasku
I tęczowych iskierek połyskać tysiącem.
W tym ciepłym oświetleniu żywa drzew zieleni-
[ność,
Przyjmując połysk złoty na szmaragdy swoje,
Harmonijnie w błękitną splywa nieskończoność.
Gaje, błonia i wzgórze, i przejrzyste zdroje,
Pełne uśmiechu szczęścia i rozkoszy dreszczu,
Wdzięczną się jak Danae w złotym bóstwa de-
[szczu.

Wszystko płynie weselem, wszystko tchnie roz-
[koszą,

Czarem młodego życia i wiosnianych rojeń.
I miłosne marzenia pierś ziemi podnoszą
Żądzą namiętnych wzruszeń i słodkich upojeń.

Różowo płoną laury, mirty pruszą śniegiem
Delikatnego kwiecia, które wietrzyk strąca
I wstydliwie szeleszczą ponad wody brzegiem,
Gdy pierś białą odsłoni Najada płynąca.

Na głazie zarośniętym jedwabistą pleśnią,
W cieniu starych kasztanów siedzi Pan rogaty:
Ucieszne bóstwo lasów, i weselną pieśnią
Wypełnia rozbawione, szalejące światy.

Kosmate koźle nogi podwinął pod siebie
I uwieńczon różami w flet zawzięcie dmucha,
A śpiew płynie po ziemi, po wodzie i niebie,
I kwili, wzdycha, pieści i miłośnie grucha,
Aż sam Pan, upojony własnych brzmień słody-

[czą,
Twarz przekrzywia podziwem i muska swą
[brodę,

Patrząc się, jak artysta z miną tajemniczą
Na płasające Nimfy nadobne i młode.
Te przywabione pieśnią wybiegły z ukrycia
I tańczą lotną stopą po miękkiej murawie...
Szał tańca i pustoty, czar wiosny i życia
Ogarnia tanecznicę. W rozkosznej postawie
Z wzburzoną piersią w błękit rzucone świetlany
Wzlatują, rozpuściwszy na wiatr włosów sploty,
I drażnią skryte w mirtach Fauny i Sylwany
I omdlewają z zbytku namiętnej pustoty.

Z TRAGEDII „PROMETEUSZ“

I.

(Niedostępny szczyt Kaukazu. Prometeusz przykuty do skały)

P r o m e t e u s z (sam)

Ciemna żywiołów nocy, roztocz nade mną za-
[słonę,
Nieprzeniknionym cieniem nakryj moje męki!
Zawyjcie huragany, burze zaryczcie szalone,
Przytłumcie krzyk rozpacz, zgłuszcicie wszyst-
[kie jęki;
Osłońcie słabość moją i wstyd hańbiącej niem-
[ccy,
Pogrążcie w zapomnieniu i chaosu nocy!
Niechaj nie triumfują Bogi wszechwładne nade
[mną,
Widząc w straszliwym bólu, co pierś wiecznie
[porze,
Pełznącą z mego wnętrza rozpacz i trwogę ta-
[jemną,
Jako robaka w dębu próchniejącej korze...

Niech się nie pyszną, rządząc światami wszy-
[stkimi,
Że już nikt im oporu nie stawia na ziemi.
Triumf ich nie zupełny! Chociaż przykutych do
[skały
Niezlomnymi okowy na tej posępnej opoce,
Na szczycie wszystkich męczarni stoję skamie-
[niały
I przez wieki bezwładnie w więzach się szamoce;
Przecież im groźny jestem wielką krzywd moich
[wymową
Co nawet Gromowładnym grom wiesza nad
[głową.
Triumf ich nie zupełny! Póki nie złamią ze
[szczętem
Tej woli, co w mej piersi rozdartej się mieści;
Póki, w przyszłość z obliczem zwrócon nieugię-
[tym;
Przeciw nim nieśmiertelne będę miał boleści,
I gwałt, co krzywdząc słuszość nadużyciem
[srogim,
Zwraca się przeciw sprawcy, choćby on był
[Bogiem.
Lecz oto sił mi braknie w ciągłych zapasach
[z rozpaczą;
Niezlomna wola nawet słabnie w męczarniach
[beźmiernych,
Co mi czarnej wieczności ciężki polot znaczą,
Dopełniając wyroku bóstw niemiłosiernych.
Z ich łaski jestem niczym w światów ważącej
[się szali,

Martwą siłą, co życia prądów już nie zmieni,
Skrepowanym piorunem, co się w chmurach

[spali,

Zastygłą myślą w ogrom rzuconą przestrzeni.

I to ja, pierwszych dziejów ziemi rówieśnik

[i świadek.

Prawy, wielki współdziedzic twórczej potęgi

[i rządów,

Ja, com widział kolejny mnogich bóstw upadek,

Niebotyczne przewroty wszystkich mórz i lą-

[dów,

Com pasmo istnień w ręku tkających je przą-

[dek

Poprawiał, nowe kształty z zgasłych dobywał

[popiołów,

Nową harmonię świata, nowy wytwarzał po-

[rządek,

Uspakajając walki wzburzonych żywiołów;

Com rzucił ziemi w darze niebu wydarte pło-

[mienię,

Cząstką nieśmiertelności pragnąc istoty zniko-

[me

Obdzielić, dać im w darze bóstwa isierkę

[i tchnienie,

By szły zdobywać sobie światy nieznajome.

I to ja, od tej twórczej przeszłości daleki,

Zgnębiony w więzach, w bólu, mam tu stać na

[wieki!

Nie wiem nawet, co wschodzi na tej olbrzy-

[mów niwie.

Co się stało z zasiewem mą rzuconym ręką,

Jakimi korytami życia świeże płynie;
Wszystko to dla mnie cieniem pokryte i męką.
Zaledwie z tego szczytu, gdzie na błękitach roz-

[pięty,

Przykuty do skał ostrza nad przepaścią wiszę,
We mgłach tonącą ziemię i sine odmęty

Przez chmur szczeliny, wichry i ryk morza
[słyszę.

Ocean czasem stary fale spienione zaprzęga

I śle mi z pozdrowieniem blade swoje córki;

Zresztą żaden ślad życia do tej wyżyny nie sięga

Prócz powszechnych obrotów wiecznie ruchli-

[wej natury.

Zawsze tylko nad sobą widzę te same niebiosa,

Rozesłane przez światów bezdenne przestworza;

Widzę, jak rankiem jutrznia wiedzie rumaki

[Heliosa,

Jak na nocleg wraz z nimi zstępuje do morza;

Widzę majestat nocy, pełen cichej grozy,

Ruchy niebieskich światła, srebrne Diany mie-

[siące,

Oriona tajne biegi i gwiazdziste wozy,

Wytkniętymi drogami w wszechświat się to-

[czące.

To widzę w ciągu wieków, a czy mam nad głową

Wóz słońca, czy też nowy księżyc w srebrnym

[sierpie,

Nigdy nie mam wytchnienia; zawsze jednakowo

Pasuję się z mym losem bezsilny i cierpię,

I własną nieśmiertelność w wolnym przeklinam

[konaniu,

I zazdrozczę ziemianom znikomego kresu,

Że złą czy dobrą dolę w jednym przebywszy
[świtaniu,
Jako cienie zstępują w otchłanie Hadesu:
Ci mają snu i śmierci wielce litośne bliźnięta,
Co kruszą wszystkich kajdan, wszystkich bo-
[leści ogniwa.
Lecz dla mnie ulgi nie ma: ręka przeznaczeń za-
[cięta
I boleść moja nigdy, nigdy nie spoczywa!

II.

(PROMETEUSZ na szczycie Kaukazu, przykuty do skały. Pojawiają się OCEANIDY, zajmując niższe piętra skał, tuż pod szczytem)

S t r o f a

Nieubłagany gniewnych bóstw wyroku!
Nieszczęśliwego ciężką gniciem ręką:
Okropna dolo! posępny widoku,
O, sroga, bez granic męko!
Trudno nie zadrzeć litością i trwogą,
Gdy groza piersiom spocząć nie dozwoli,
Lecz co westchnienia, co skargi pomogą
Takiej wieczystej niedoli?
Próżno rzuciwszy modrych wód posłanie,
Tu przybywamy z łez błyszczącą rosą:
Łzy nasze w ciemne spadają otchłanie
I żadnej ulgi nie niosą.

Antystrofa

Gdzież jest pociecha, pomoc albo rada,
Dla tego smutków nadziemskich olbrzyma?!
Próżno przy boku nasz orszak zasiada,
Mokrymi patrząc oczyma;
Próżno mu ślemy litościwe słowa,
Co przepadają bez żadnego echa:
Marną jest litość, daremna wymowa,
Bezsilną wszelka pociecha.
Myśl jego, cierpień porwana odmętem,
Przeciwko własnej wieczności się miota,
Jak gdyby rozpacz chciała już ze szczętem
Zagasić płomień żywota.

Strofa

Jakże jest straszną cierpienia potęgą!
Chwilowo nawet moc Tytanów łamie
I nieugiętą ich wolę rozprzęga
Silniejsze złych losów ramię.
Lecz tylko rodzaj znikomy
Traci na zawsze swą pozorną dzielność;
Przetrwa zaś wszystkie przeznaczenia gromy,
Kto czuje swą nieśmiertelność.
Choć się pod ciosem czasami zachwieje,
Własnym natchnieniem choć złorzeczy w szale,
Nieporuszony przez wieków koleje
Stać będzie w posępnej chwale.

Antistrofa

Mizerną rozkosz otrzymuje w darze
Wszystko, co pełza i w cieniu się kryje;
Wielkość z cierpieniem zawsze chodzi w parze,
W najwyższe szczyty grom bije.
Kto obrał niezwykle drogi,
Musi się zbroić na ból i męczarnie;
Wyniosłej głowy nie oszczędzą bogi,
Nie wolno wznieść się bezkarnie.
Lecz kara w triumf zamienia się potem,
Do dawnych blasków przyrzucając świeże:
Prawdziwa wielkość pod nieszczęścia młotem
Kształt doskonały przybierze!

ZŁOTY CIELEC

Poszedłem zwolna w ślad olbrzymiej rzeszy,
Pędzącej szybko, jak wezbrana rzeka,
Aby zobaczyć, gdzie i po co spieszy?

Więc, na wzniesieniu, ujrzałem zdaleka
Bożyszczę, które żeby uczcić godnie,
Wszelkiej czci innej zgraja się wyrzeka.

Przystęp do niego torowały zbrodnie.
Gwałt, podstęp, kłamstwo, wyzysk i bezprawie
Za drogowskazy służyły przewodnie;

A ciała ofiar, ginących w niesławie,
Zasłały drogę, sącząc krwi kałuże,
Tak, żem się lękał, czy stóp nie okrwawię.

Przybyłem wreszcie pod błyszczące wzgórze,
Co całe w ogniach tęczowych się mieni,
W topazów złocie, w rubinów purpurze,

W cieniach szafiru, w szmaragdów zieleni.
Na nim, na złotym stojąc piedestale,
Kąpał się w blasku stubarwnych płomieni,

W kadzidel dymie i w bezczelnej chwale
Bóg zwierzęcości, cielec szczerozłoty ...
A tak mu oczu błyskały opale

I takie piętno żywej miał sromoty,
Że się w kruszcowej zdawał żyć powłoce
Nadprzyrodzonej żywotem istoty,

Wyposażonej w wszystkie ziemskie moce.
Na jego grzbiecie w łuk rzucona mięki,
Jakby czekając na miłosne noce,

Naga, lecz strojna w wszystkie ciała wdzięki
W bezwstydzie krasą jaśnieje kobiecą
Pani zmysłowej rozkoszy i męki.

Usta, uśmiechem rozchylone nieco
I tajemniczą kuszące rozkoszą,
Ściegiem perełek w warg koralu świecą

I o płomienne pocałunki proszą.
Ciemne źrenice, pod powiek osłoną,
Iskrami spojrzeń dziwny żar roznoszą,

I jako światła, skryte w głębiach, płoną
Przymglonym blaskiem, który wskroś przenika
I burzę pragnień wzniecając szaloną,

Kogo dosięgnie, zmienia w niewolnika.
Włos płomienisty, sypiąc się w nieładzie,
Złotem perłowe białości przetyka,

Na żywy marmur ton gorący kładzie.
Pierś Afrodyty: nie ta, nieruchoma,
Jaką w klasycznej rzeźbiono Helladzie,

Lecz falująca róż pączkami dwoma
Na kręgach mlecznej białości, co drżące,
Wrzącej krwi fala podnosi, kryjoma.

Na piersi wielkie, brylantowe słońce
Pod sznurem pereł, pieszczących jej szyję
Barwnych iskierek rozrzuca tysiące

I luną światła fosforycznych bije.
Zamiast przepaski lub osłony wszelkiej,
Wąż szmaragdowy przez biodra się wije,

Niby żyjący jeden klejnot wielki,
Zielonawymi płomykami błyszczą
Na śnieżnym ciele wiecznej kusicielki.

Dokoła owych bezwstydných bożyszczy,
Na wzgórzu, śmierci usypanym dłońią,
Z pokoleń kości i ruin i zgliszczy,

Niezmierne tłumy cisną się i gonią,
Pijane żądzą użycia zwierzęcą,
O bożka złota zazdrosne i o nią.

Wzajem się kuszą i wabią i nęcą,
Zaprzepaszczając człowieczeństwo swoje
W kulcie, co orgię wyuzdaną święcą.

Odurzające leją się napoje,
Woń przenikliwa upaja i drażni . . .
Kwiaty, brylanty i nieskromne stroje

Budzą stępiony pęd wyobraźni.
Pełno kobiecych obnażonych ramion,
Piersi, rzuconych widzom bez bojaźni,

Na których lśnią się, zamiast hańby znamion.
Kosztowne z drogich kamieni obroże,
A każdy brylant jakąś zbrodnią splamion,

A każdą perłę wyrzuciło morze
Łez i krwi ludzkiej, a zgarnęła pycha,
Żeby ją cisnąć na nierządu łożu.

Jakaś muzyka przejmująca, cicha,
Łechcąca nerwy tajemną pieśzczotą,
Miłośnie szemrze i namiętnie wzdycha.

Leje się wino, połyskuje złoto;
Żywiej falują owe łona śnieżne,
Oczy przyćmione pożądań tęsknotą,

Płonące wargi, omdlenia lubieżne,
Zalotne śmiechy, wabiące okrzyki,
Wznecają samców instynkty drapieżne.

W takt kołyszącej rozkosznie muzyki
Ciała się ludzkie kołyszą, jak płazy,
Przy dźwiękach fletni . . . Namiętny i dziki

Taniec swawolne przesuwa obrazy
I wiram, który szybkość swą podwaja,
W szal bałwochwalczej wprowadza ekstazy.

Szaleje cała rozpasana zgraja,
Do dna złocistą wychylając czarę,
Która ją winem występku upaja:

Więc wstyd dziewiczy i małżeńską wiarę,
Uczciwość, honor i człowiecze imię,
Bożyszczom swoim składa na ofiarę.

Te, w blasku chwały i kadzidel dymie,
Pojąc się tłumnej rozpusty oddechem,
Zdają się kształty przybierać olbrzymie,

Oddychać chucią i potężnieć grzechem.
Triumfująco, a razem złowrogo
Królowa sromu spogląda z uśmiechem

Na tłum czcicieli, zgiętych pod jej nogą,
I tak ich żądze zmysłowe poduszcza,
Że z pod jej władzy wyrwać się nie mogą.

Tymczasem nowa nadciągnęła tuszcza . . .
Jakieś wpół dzikie, barbarzyńskie szczepy,
Które jałowa wyrzuciła puszcza,

A niegościnne odepchnęły stepy,
Wraz z rodzinami, co za sobą wiozą,
Zbrojne w topory, maczugi, oszczepy.

Dotarli tutaj... i przejęte zgrozą
Stoją przed sceną zmysłowych nadużyć,
Przed tą sromotnych bóstw apoteozą.

Czoło ich groźnie zaczyna się chmurzyć,
We wzroku wzgarda przeblyskuje sroga
I krzyk się wznosi: „Chodźmy, bracia, zburzyć

Sprośne bałwany w imię prawdy, Boga,
Co zdał nam w ręce przybytek nierządu,
I czi prawdziwej odstępę i wroga!

Oto wybiła dziś godzina sądu,
Która potęgę bałwochwalstwa skruszy
I świat oczyści z wszeteczeństwa trądu!“

Tak krzycząc, zbrojny zastęp się poruszy
Jak piorun lecąc na występne stado,
Co w przerażeniu stanęło bez duszy,

Niezdolne nawet skryć się przed zagładą.
Padają grzechu kapłanki i sługi,
Jak zżęte kłosa na ziemię się kładą,

Powabne główki druzgocą maczugi,
Pieszczone członki topór tnie na ćwierci,
Krwi rubinowej rozlewając strugi,

A oszczep łona liliowe przewierci...
I nikt nie uszedł przed rzezią morderczą:
Dokoła wszędzie jedno żniwo śmierci.

Porozrzucane stopy trupów sterczą...
Tylko sam jeden złoty cielec, z góry
Ócz opalami błyskając szyderczo,

Spokojnie patrzy na obraz ponury.
I ta na grzbiecie jego piękność naga,
Od krwi przelanej kraśniejąc purpury,

Spojrzeniem swoim o litość nie błaga,
Lecz zbrojna w tajnych rozkoszy ponętę
Świeżych uwielbień i czci się domaga.

Próżno szły ku niej zastępy zawzięte,
Co poprzysięgły zwalczyć kult szatana,
I zburzyć owe ołtarze przeklęte.

Na próżno horda, jeszcze krwią pijana,
Wzniosła topory... W ogniu jej spojrzenia
Broń wypuściła... ugięła kolana...

I z napastników w czcicieli się zmienia.
Znowu na miejscach, gdzie krew dymi świeża,
W gorączce złota, w szale upojenia,

Łupy zdzierane z pobitych odmierza
I dawne orgie swoich ofiar wznawia,
Czcząc nierządnicę i złotego zwierza!

A te wszechwładne bożyszczą bezprawia
Jaśnieją w nowej świetności i chwale,
Wśród tłumu wiernych, co je znów wysławia.

Tak coraz nowe napływały fale
Ras, szczepów, plemion; coraz świeża warstwa
Z głębin społecznych wznosi się zuchwale

I we krwi ludzkiej chce szukać lekarstwa
Przeciw zarazie, która ludy plami,
I jak rak toczy największe mocarstwa.

A jednak zawsze kolejno ci sami,
Co na występek podnieśli żelazo,
Gdy przed zdradnymi stanęli bożkami,

Które im były wstrętem i odrazą,
Łamali ducha w górę rwące skrzydła
I w kał padali dotknięci zarazą.

*

Widząc, jak wiecznie owa moc przebrzydła
Wzlotom pokoleń gotuje upadek
I wciąga w pokus zastawione sidła,

Chciałem zawołać, przerażony świadek
Tej krwawych zdarzeń wijącej się wstęgi,
Wciąż wracających dziejowych zagadek:

„Mijajcie zdala! te zakłète kręgi,
„Które, jak wiry przepaścistej toni,
„Niepokonanej przemocą potęgi

„Wciągają śmiałków, co się zbliżą do niej!
„Zostawcie zgraję, co balwanom służy,
„Za złotem dąży, za rozkoszą goni:

„Sama utonie w występku kałuży!
„Ród bałwochwalczy własnym jadem zginie!
„Bałwany padną, choć ich nikt nie zburzy!

„Gdzieindziej cnoście stawiajcie świątynie!
„A może nadejść odkupienia era,
„Gdy prawdy Boga czczyć będziecie w czynie!“

Lecz głos mój w głuchej przestrzeni zamiera,
Nie budzi tłumów uwagi, ni echa . . .
A cielec złoty z triumfem spoziera . . .

A kusicielka jak sfinks się uśmiecha . . .

J. I. KRASZEWSKIEMU

U nas, gdzie przodownikom narodowej pracy
Trud ciężkiego żywota jedyną nagrodą,
U nas, gdzie oni idą kornie jak żebracy
Przed tłumem, co za sobą do przyszłości wiodą,
I siejąc ziarno myśli za wszystkie korzyści
Zbierać muszą zatruty owoc nienawiści.

U nas nie znajdzie lauru dla uczczenia głowy
Tego, co żył boleścią i życiem narodu.
Laur zresztą niepotrzebny, wieniec piolunowy
Więcej uświęca drogi twojego pochodu,
I większą ponad inne cześcią cię otacza,
Ześ wziął zapłatę godną polskiego tułacza.

Ten wieniec ci podano nieraz, bądź więc dumny!
Pełzającej mierności nigdy nim nie wieńczą;
Zapracowałeś ciężko na gniew bezrozumny
Niewygasła miłością i wiarą młodzieńczą.
Możesz więc ze spokojem dług wdzięczności
[spłacać,
I jak dotąd, kraj myśli skarbami wzbogacać.

Co tobie po uznaniu, po uwielbień szmerze?
To zostaw tym, co wszystko wraz z oklaskiem
[tracą:
Ciebie wstająca Polska w nowy blask ubierze,
Boś całe pokolenia swą wychował pracą,
I niósł pochodnię prawdy wśród niechętnych
[syku,
Niemordowany polskiej myśli pracownika!

Dość ci na teraz hołdu, który niewidomie
W serc skrytości szlachetnym uczuciem wy-
[kwita,
Wszak tobie towarzyszy wśród walk na wyło-
[mie,
Prawdy, dobra i piękna miłość niespożyta.
Ta wyda plon obfity i gdy polskie niwy
Błysną dojrzałym ziarnem — zbierzesz plon
[prawdziwy!

NA OBCHÓD SŁOWACKIEGO

Poeto! oskarżono ciebie przed narodem,
Że kazałeś bezwładnym poruszać się bryłom,
I po swej śmierci niosą pieśń jak sztandar
[przodem,
Prowadziłeś bezbronne zastępy na wyłom,
Gdzie bez nadziei zwycięstw lały krew obficie.
Jeśli to twoją winą, że budząca życie
Pieśń, jak orkan wstrząsnęła śpiącą grobów
[ziemię
I na chwilę zwiększyła naszych nieszczęść brze-
[mię,
Krwawe widmo ojczyzny wywołując z trumny,
Jeśli to twoją winą, że pchany rozpaczą
Naród zerwać chciał więzy — — to możesz być
[dumny!
Ci, którzy ucierpieli najwięcej, przebaczą!
I Polska ci przebaczy, kochający synu,
I nie będzie dla ciebie żałować wawrzynu.
Bo święte hasła twoje — to nie hasła chwili,
Co przepadają marnie w ciężkich dniach roz-
bicia;
Wiara twa nie zawiedzie, miłość nie omyli,

Lecz poprowadzi naród do nowego życia.
Mylą się pokolenia w dróg swoich wyborze,
Jednak cel postawiony mylnym być nie może.
Gdyby nie głos natchniony narodowej lutni,
Który nie dał zmęczonym usypiać w letargu,
Czymże byśmy dziś byli my, nędzarze smutni?
Gromadą niewolników na publicznym targu,
Narodem bez przyszłości, bez celu, bez cześci,
Którym pan jego gardzi, chociaż czasem pieści.

Wprawdzie by nas żywiła szczerzej polska
[gleba,
A plon nasz by nie poszedł na pastwę płomieni;
Wprawdzie byłoby lepiej tym zjadaczom chleba,
Którzy się tuczyć pragną z losem pogodzeni;
Lecz nad przyszłością naszą noc by zaszła głu-
[cha
I naród cały został bez serca i ducha . . .

Że tak nie jest — to twoja, o poeto, wina,
Więc potomność już wyrok ogłaszać poczyna,
I laur, który od dawna tobie się należy,
Pośród nowych pokoleń bierzesz z rąk mło-
[dzieży:

W ALBUMIE DLA ZAGRZEBIA

Niegdyś, niegdyś spod Wawelu
Młódź rycerska biegła w zbroi,
Do jasnego biegła celu,
Nadstawiając piersi swojej.

Przy zakonie stojąc twardo,
I przy prawie swym człowieczym,
Z męską śmierci szła pogardą
Chrześcijaństwa bronić mieczem;

I w orężnej świata dobie,
W której wszystko krwią się płaci
Wywalczała chwałę sobie,
A ochronę słabszej braci.

Ten rycerskiej dzień wysługi
Już się skończył, już obrońce
Na spoczynek poszli długi,
I nad nimi zaszło słońce.

Przeszłość cała, jasna żywa,
Zatonęła w nocną ciszę,

Lecz w podziemiach, gdzie spoczywa,
Młode dziecię znów kołysze.

I choć jeszcze chmurno, mroczno,
Już się sercem budzą młodzi,
Czuć już jasność niewidoczną,
Czuć, że nowy dzień nadchodzi.

Dzień nadchodzi, w którym ludy
Rozdzielone krwią przelaną,
Nienawiścią zbrojne wprzódy,
Do bratniego koła staną.

I na gruzach krwawej pychy
I plemiennych walk szaleństwa
Wzniosą w niebo ołtarz cichy —
Zwycięskiego człowieczeństwa.

W tym dniu nową zbroję włożym,
I na serca walczyć będziem,
I miłości duchem bożym
Świat ogarniem i zdobędziem.

Dziś już z pierwszym świtu brzaskiem
Wyciągamy do was ręce,
Słowem, pieśnią i obrazkiem,
Składać dary pacholęce.

Wyczekując końca nocy
Do jasnego dążym celu,
I niesiemy dar sierocy
Pacholęta z pod Wawelu.

J. KOLLAROWI

WIESZCZOWI ODRODZENIA CZECH

Gdy lud Wasz wielką rocznicę dziś święci,
Ja, polski pieśniarz, idę do Was w gości
Oddać hołd Wieszcza Waszego pamięci
I w cichym święcie słowiańskiej jedności
Wraz z wami sercem udział wziąć pospołu
Przy uczcie duchów, u wspólnego stołu.

Przed bohaterem, który w bój bezkrwawy
Prowadził naród, budząc go do życia,
I z tej uśpionej, pięknej Córki Sławy,
Zbutwiałe grobu otrząsał spowicia,
Z pokorą swoje uginam kolano,
Wpatrzony w zorzę geniuszu świetlaną.

Przed wodzem, który wówczas stał na straży,
Gdy mrok niewoli émił wzrok ludu wszędzie,
I białogórskich podjął pieśń cmentarzy,
I kształcił śpiewne języka narzędzie,
Przed ojcem pieśni wiodącej do czynu,
W imieniu Polski składam liść wawrzynu.

Bliższym jest bowiem dla polskiego serca
Ten, który skupia, niż ten, co rozprzęga;
Droższym, kto wskrzesza, niż ten, co uśmierca
I żadna władców światowych potęga
I żadna chwała równać się nie może
Z tą, co ludowi nową niesie zorzę.

Cześć śpiewakowi, który w śnie proroczym
Czuł, że z letargu cały naród wskrzesi!
Cześć hetmanowi, w którego ślad kroczym
Ku odrodzeniu z Wami, bracia Czesi!
Przez trud pokoleń i duchów torturę,
By oswobodzić piękną Sławy Córę.

O, Córko Sławy! zostań wierną sławie,
Tej nieskalanej łzami i krwią cudzą:
Niech cię rządzące zwycięsko bezprawie,
Ani wszechwładztwa pokusy nie ludzą.
Szukaj natchnienia i sił w samej sobie
I w tej przeszłości, która żyje w grobie!

Idź raczej z tymi, co cierpią i walczą,
Nie chcąc zatracić samobójczo ducha,
I stać się tłuszcza helotów służalcza,
Nad którą dziejów noc zapadnie głucha:
Niż z tym olbrzymem, co krocząc zuchwały
Wszystkie ludzkości depcze ideały.

Przyjdzie czas, w którym wypełnią się jeszcze
Tylko w zmienionej przez dzieje postaci
Waszego piewcy te natchnienia wieszczce

O świętej zgodzie wśród słowiańskiej braci.
Skryte marzenia czas urzeczywistni:
W objęcia sobie padną nienawistni!

Gdy prąd duchowy, co kajdany łamie,
Wszystkich podniesie i usamowolni,
Wtedy staniemy do ramienia ramię,
Równi z równymi i z wolnymi wolni!
I Słowiańszczyzna cała, silna, młoda,
Przy bratniej uczcie ręce sobie poda.

Treść tomu II.

I. Sen grobów

	str.
Sen grobów	7

II. Nad głębiami

Nad głębiami	45
--------------	----

III. W Tatrach

Wstęp	81
Rańek w górach	85
Kościeliska	88
Noc pod Wysoką	91
Letni wieczór	96
Podczas burzy	98
Limba	99
Wodospad siklawy	101
Ulewa	103
Maciejowi Sieczce	105
Giewont	111

IV. Odpoczywa

Odpoczywa	117
-----------	-----

V. Sonety

Sonety	131
Stokrotki	137
Niezręczny	139
Dwie fazy	141
Herakles	143
Morskie Oko	146
Ze sceny świata	151
W oczekiwaniu jutra	163
Przyjście Mesjasza	166

VI. Z obcych stron

Pointe de Raz	173
Taormina	177
Noc na morzu	180
Pustynia	182
Zamarła oaza	184
Na polach Kartagi	186
Haszumat	190
Trimurti	192

VII. Myśli ulotne

Myśli ulotne	197
--------------	-----

VIII. Różne

Helenie Modrzejewskiej	217
Freski starożytne	221
Endymion	229
Widmo jesieni	231
Kamień	233

Usprawiedliwienie	235
Król Juba	236
Ociemniały Thamirys	241
Baśń tęczowa	250
Z egipskiego rytuału zmarłych	255
Lykofron do Fatum	259
Kantata na jubileusz J. I. Kraszewskiego	263
Na grobie Wincentego Pola	266
Orfeusz i Bachantki	268
Pigmalion	273
Memnon	277
Fresk Pompejański	279
Z tragedii „Prometeusz“	281
Złoty cielec	288
J. I. Kraszewskiemu	297
Na obchód Słowackiego	299
W albumie dla Zagrzebia	301
J. Kollarowi	303

WYDAWNICTWO LUDWIKA FISZERA
W WARSZAWIE

ZYGMUNT MICHAŁOWSKI

O WRZEŚNIU ÓW

zł 120.—

Zbiór poezji „O Wrześniu Ów“ jest jedynym zbiorkiem zawierającym dokładny obraz przeżyć Warszawy podczas pierwszych tygodni wojny w roku 1939.

Jest to nie tylko zbiór poezji, ale i dokument historyczny.

O d g ł o s y p r a s y :

...Zbiorek - poezyj Michałowskiego nadaje się bardzo do lektury, recytacji i umiejętnych komentarzy dla naszej młodzieży.

Kończy poeta w momencie tragicznej kapitulacji Warszawy akordem dumy i wiary: „Warszawa ranna krwawi — ale nie zabita“.

(Tad. Stan. Grabowski — Jedność Ludowa).

WYDAWNICTWA LUDWIKA FISZERA
I JÓZEFA KUBICKIEGO W WARSZAWIE

STEFAN GODLEWSKI

W A R S Z A W A

z 40 ilustr. prof. E. Bartłomiejczyka

zł 480.—

O d g ł o s y p r a s y :

„Na szczególną uwagę zasługuje świeżo wydana książka Godlewskiego... Właściwie jest to przepiękny sen o Warszawie, w którym odżywa ona kolejno w paru okresach swej historii.

Czyta się to dzieło jak najwdzięczniejszą powieść i kto pragnie odświeżyć sobie w pamięci dawne dobre czasy ukochanego miasta nie pożałuje, gdy zapozna się z książką Godlewskiego“.

(Benedykt Hertz, Kurier Codzienny z dn. 20. X. 46)

„Snem nocy warszawskiej nazwał w swoim czasie książkę Godlewskiego Adam Grzymała-Siedlecki. Nie on jeden z plejady krytyków przedwojennych zwrócił uwagę na tą książkę.

Pisali o niej pochlebnie prof. Sinko i Tretiak. Krytycy Leon Pomirowski, Witold Chwalewski, Adolf Nowaczyński, Piotr Grzegorzczak.

Znakomicie zrobili wydawcy, wznawiając teraz właśnie tę książkę przedwojenną. Powinna ona znaleźć się w ręku każdego Warszawiaka przywiązanego do swego miasta.

Powinna ją czytać młodzież, bo znajdzie w niej w formie uroczo fantastycznej historię Warszawy.

(Express z dn. 7. II. 47)

...Książkę Godlewskiego czytamy dziś ze szczególnym wzruszeniem. Nasze miasto, z którym złączyło nas tyle przeżyć i cierpień legło w gruzach. Nie ma Warszawy ani dawnej, ani ostatniej. Rodzi się dopiero nowa jej postać. Żyje ona jednak najlepiej w wizji artystycznej. Dlatego ze szczególnym upodobaniem wracamy do „Lalki“ Prusa. Z tych samych powodów należy sobie przyswoić na stałe i „Warszawę“ Godlewskiego.

(St. Dzikowski, Gazeta Ludowa Nr. 340)

WYDAWNICTWA LUDWIKA FISZERA
I JÓZEFA KUBICKIEGO W WARSZAWIE

STANISŁAW DZIKOWSKI

NIEMIEC WYSZYDZONY

z ilustracjami A. Swidwińskiego

zł 280.—

Jest to mała encyklopedia satyry antyniemieckiej. Pisze nam Dzikowski, że „uśmiech Warszawy i pogardliwe lekceważenie Niemców nie miały już nigdy zgasnąć. Trwały w najstraszniejszych chwilach terro-ru. Stały się taką samą bronią oporu, jak kule spiskowców“.

Odgłosy prasy:

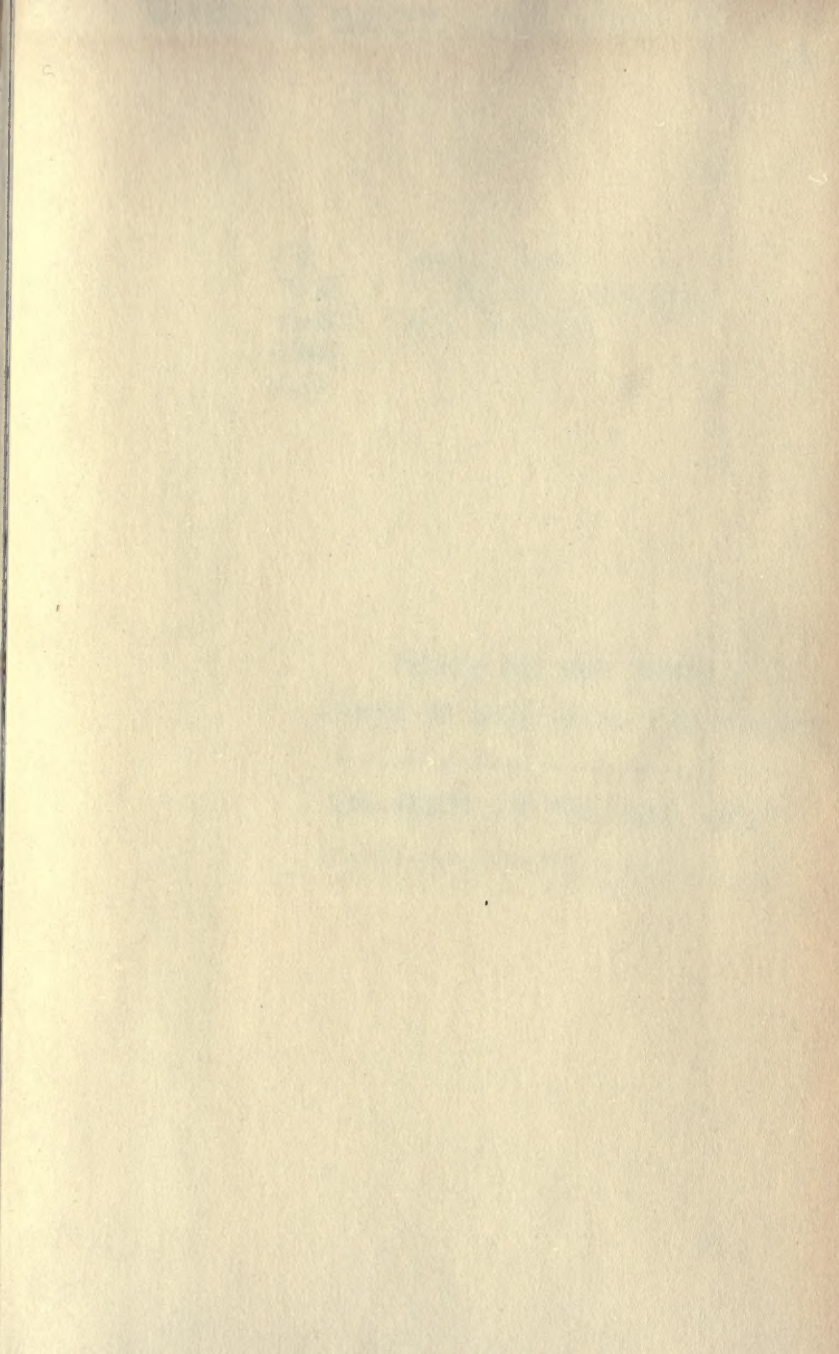
Niekiedy wesoła, niekiedy smutna, a zawsze pocuzająca może być lektura książki Dzikowskiego *Niemiec Wyszydzony*. Jest to wybór najrozmaitszych anegdot i pomysłów polskich o Niemcach od czasów najdawniejszych po okupację...

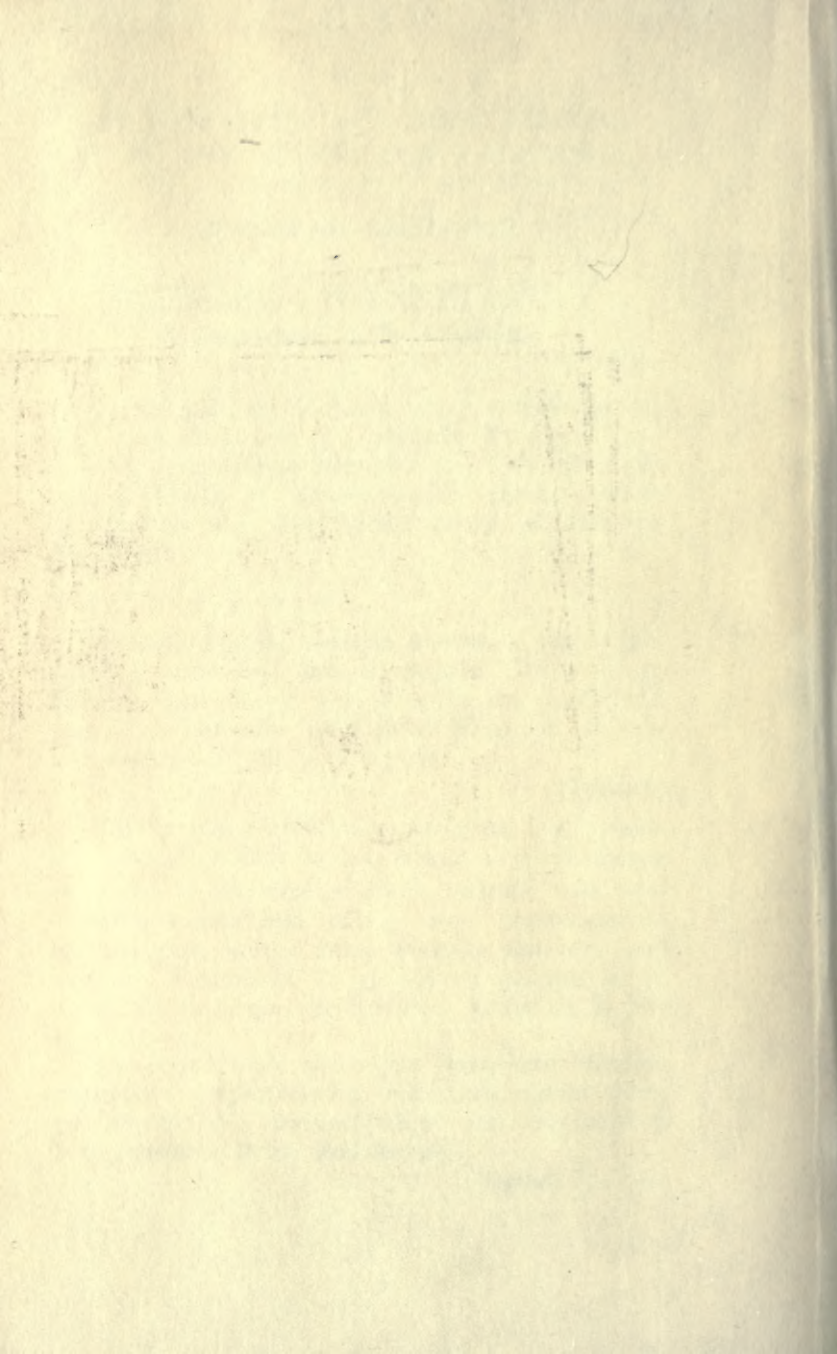
(Tydzień)

Książka ma wartość nieprzemijającą i z biegiem lat czytelnik będzie do niej nieraz z przyjemnością powracać. W bohaterskim eposie ostatniej walki męczeństwo i zacięłość byłyby zbyt jednostronnym naświetleniem, humor mimo wszystko tłumaczy nam psychikę zbiorowości i jej bojową postawę nieraz lepiej, niż fizjologia cierpiętnictwa. Czyta się ją jednym tchem.

Przewodnia myśl autora jest ilustrowana bogatym materiałem anegdotycznym, rysunkami utalentowanego artysty Al. Swidwińskiego oraz reprodukcje z wydawnictw Polski Podziemnej.

(Gazeta Ludowa)





BINDING SECT. SEP 3 , 1969

PG Asnyk, Adam
7158 Dzieła poetyckie
A9A17 Wyd. zupełne
1900
t.2

PLEASE DO NOT REMOVE
CARDS OR SLIPS FROM THIS POCKET

UNIVERSITY OF TORONTO LIBRARY
